

MERKVRYVSZ POLSKI ORDYNARYINY

Dzieje wszytkiego świata w sobie za-
mykający dla informacyey pospolitey

Założony w roku 1661

GAZETA TYGODNIOWA

**Oszustwo
stratosferyczne**



Nakład 2-gi
po konfiskacie
PREZYDENT FRANKLIN ROOSEVELT
który zamierza zrobić porządek w Europie

Nr. 36 (326)

31.VII.1938

Cena **45 gr**

Nr. 37 (227)

Dziecie wŹyŹskiego Źwiata

Prasa demokratyczna wpadła w ŹaŹ radosny z powodu wizyty aljanckiej króla Jerzego w Paryżu. „My wygrali!“ wołają „Nasze Przeglądy“ róŹnego autoramentu. „Przełomowe skutki wizyty paryskiej“ — sekunduje im „Nowa Rzeczpospolita“. Dwa olbrzymy porozumiały się ze sobą dla wspólnej obrony demokracji! Trwoga i sądny dzień w Berlinie, kocio kwik w kancelarii dyplomatycznej Mussoliniego! Kpt. Wiedemann, wysłannik Hitlera, łasi się do lorda Halifaxa, a drugi emisariusz, hr. Welczek robi oko do min. Bonnetta. Karta odwróciła się, przyszedł dzień odwetu, Chamberlain stawia przeszkody wykonaniu układu anglo - włoŹskiego, Niemcy są osadzone w miejscu, Japonja ugina się pod cięŹarem wojny chińskiej i pod naciskiem Sowietów.

W samej rzeczy jubel w łóŹach i kahałach jest w danej chwili usprawiedliwiony. W Wielkich Wschodach pęknąć musiało w tych dniach duŹo butelek Veuve Cliquot i Pommery, a bracia śpiewali chórem, klaszcząc w dłonie: Wolność — Równość — Braterstwo!, jak to zwykli robić i na uroczystościach wtajemniczenia nowych adeptów. Bo oto zasady rewolucji 1789 r., zdają się być górą. Król angielski mówi o sojuszu dwu wielkich demokracji dla obrony wolności i indywidualności człowieka.

OSTROŹNIE, OSTROŹNIE...

My, Polacy powinniśmy się cieszyć, że pochód niemiecki został zahamowany. Zarazem jednak winniśmy zachować ostroŹną powściągliwość wobec trjumfatorów, raz dlatego, że historia zmienną jest i niewiadomo co będzie za trzy tygodnie, powtóre zaś

dlatego, że kaŹdy sukces osi ParyŹ-Londyn wzmacnia automatycznie pozycję i agresywność naszego wschodniego sąsiada. Graniczymy nie tylko z Niemcami, lecz i z Rosją; toteŹ szkodzi nam wszystko, co wychodzi na korzyść jednej czy drugiej stronie.

Manifestacja paryska fiksuje podział Europy i Źwiata na bloki ideologiczne. Demoliberalaty cieszą się, twierdząc, że to oznacza pokój. Excusez, a dlaczego nie wojnę? Im mocniej cementuje się blok: ParyŹ - Londyn, tem bardziej zwiera się blok: Rzym - Berlin. I naodwrot, bezwąt pienia. Ale kto zaczął, kto zawinił? Czy nie łóŹe, które obalając Lavalą, rozbiły front Stresy, oderwały Włochy od Francji i pchnęły je w objęcia Niemiec?

NIEBEZPIECZEŹSTWO BLOKÓW

Oficjalna polityka Polski głosi negację bloków ideologicznych. I słusznie, bo ta kamienie młyńskie, pomiędzy którymi znajduje się Polska. Dotąd byliśmy skuzynowani z Anglią w tej niechęci do bloków. Obecnie Anglią przeszła sama na politykę bloków. Jesteśmy tedy osieroceni i wątpić należy, czy nasz MSZ miał dziś powód, aby skakać z radości na jednej nodze. Im silniej krystalizują się w Źwiecie wrogie obozy, tem głębiej Polska zagnana jest w matnię. Albowiem Opatrzność wyłączyła nas w szczególny sposób z całego tego systemu europejskiego, wraz z dobro-



Liga Narodów, to czyste dziecie Izraela, powinno żyć i oddychać powietrzem praojców. I dlatego Ligę Narodów naleŹałoby umieścić wśród wieŹ i wewnątrz murów Jerozolimy...

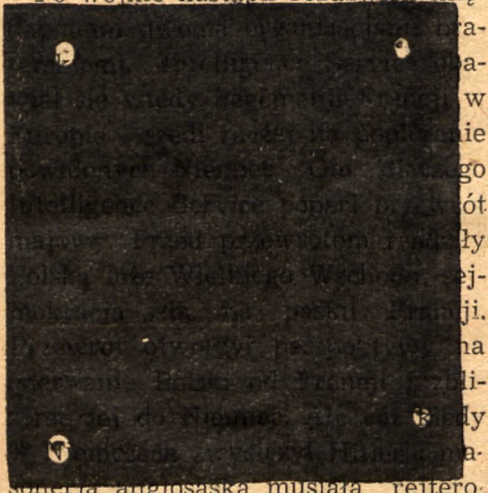
(Simon Tow. Yacoel „Reflexions sur la grande guerre et l'avenir des peuples“).

dziejstwem inwentarza. Gdy zwycięża hitleryzm, mamy na karku ekspansję Wielkich Niemiec, gdy trumfuje demokracja, grozi nam Front Ludowy i bolszewizm.

TAJEMNICA ENTENTE CORDIALE

Co oznacza dziś Entente Cordiale, którą wskrzesił uroczyście król Jerzy na ratuszu paryskim? Francją rządzi dziś 50.000 wolnomularzy, Anglja z dominjami liczy około 900,000 fartuszków. Razem 950,000 fartuszków. Oto właściwa cyfra i sens ukryty Entente Cordiale. Do tego dochodzą Stany Zjednoczone, z 3,300,000 fartuszków, ustawione karnie w zapleczu i gotowe w każdej chwili do czynu. Łącznie stanowi to 4,250,000 fartuszków. Przez Entente Cordiale rozumieć trzeba bowiem nie co innego, jak porozumienie dwu wielkich odłamów wolnomularstwa: masonerii francuskiej, nie uznającej symbolu Wielkiego Budowniczego Wszechświata i masonerii anglosaskiej, uznającej ten symbol.

Po wojnie nastąpił rozdźwięk między



soneria anglosaska musiała retylować od swej polityki proniemieckiej, sterując z powrotem w stronę Paryża. Dziś oglądamy finał tego ciekawego procesu. Łoże Londynu i Paryża podały sobie ręce przeciwko Niemcom.

Pisma demokratyczne cieszą się, że

wznowienie Entente Cordiale zażęgało na pewien czas groźbę wojny. Entente Cordiale — powiadają ci małokalibrowi politykierzy o smutnie zaczadzonych mózdkach — jest fundamentem pokoju. Pozwalamy sobie różnić się na ten temat z zaczadzonymi mózdkami. Zaczadzone mózdzki nie umieją myśleć kategorjami historycznymi, wskutek czego nie zdają sobie zupełnie sprawy, że Entente Cordiale francusko - angielska, że sam pomysł tego aljansu, zrodzony przez Talleyranda - arcymasona, jest od lat stu kilkudziesięciu *fundamentem niepokoju w Europie.*

FUNDAMENT NIEPOKOJU

Gdy zwyciężyła koncepcja Napoleona, idea porozumienia państw narodowych, ten wielki plan kontynentalny „małego kaprała“, nie mie libyśmy łańcucha rewolucyj aż do komuny moskiewskiej włącznie, a w następstwie rozpadu Europy na blok nacjonal - faszystowski i internacjonal - demokratyczny. Niestety zatrjumfował Talleyrand ze swą koncepcją wiecznego aljansu dwu demokracji masońskich, która zrodziła dynamizmy przeciwstawne (w pierwszym rządzie niemiecki i włoski) i postawiła Europę przed perspektywą niekończących się, potwornych wojen ideologicznych. I dlatego Entente Cordiale, oglądana z wyższego, historjograficznego aspektu, jest i będzie nadal źródłem ustawicznego niepokoju i zamętu.

STALIN — WOROSZYŁOW — BLUCHER

Na Dalekim Wschodzie bój trwa. Ostatnio krwawe języki płomieni ukazały się już i na granicy Mandżukuo. Co z tego wyniknie? Zależy to w pierwszym rzędzie od trójki: Stalin —

Woroszyłow — Blücher. Jeśli ci trzej uznają, że Sowiety mogą się odegrać wewnątrz i na terenie międzynarodowym, jeśli napadną w danym momencie na zmęczoną upustem krwi Japonję, to będziemy mieli nową zawieruchę. Jedyne, co może ich powstrzymać od awantury, to wzgląd na wewnętrzną spoistość i siłę czerwonego imperjum, zachwianą masowymi egzekucjami na moskiewskim Olimpie, a zwłaszcza wśród najwyższych dowódców armji.

Stalin, Woroszyłow i Blücher, trzej przyjaciele, sami rywalizują ze sobą i czyhają na siebie wzajemnie. Blücher, kacyk Dalekiego Wschodu, prze do wojny, która da mu laur zwycięskiego komandarma, Woroszyłow kroci na dyktatora Wszechrosji. Narazie jednak decyzja ostateczna zależy od Stalina.

PERSPEKTYWY WOJNY JAPONSKO - SOWIECKIEJ

Wbrew obawom świata, nie należy oczekiwać, by wojna sowiecko-japońska przeistoczyła się odrazu w rzeź powszechną. W obecnej chwili Niemcy nie wąż się na tak ryzykowne przedsięwzięcie, jak marsz na Moskwę. Włochy związane są kampanją hiszpańską. Anglja nie zaangażuje się otwarcie po stronie Sowietów, ze względu na swą opinię publiczną. Stany Zjednoczone dadzą Moskwie pomoc w pieniądzach i materiale wojennym, ale nie wystąpią zbrojnie. Narazie tedy byłby to pojedynek między armją sowiecką a japońską, uwikłaną na lewym skrzydle w olbrzymią imprezę chińską.

Szanse Japonji? Bez wątpienia, państwo Mikada jest wyczerpane ekspedycją chińską, która wchłoneęła już do 1½ miliona żołnierzy i miliardowe sumy, nadszarpujące poważnie

budżet japoński. Podobno rząd jest zdecydowany rzucić zapasy złota na kupno materiałów wojennych. Píše się też o trudnościach wewnętrzno-politycznych natury socjalnej. Jest rzeczą oczywistą, że w tej sytuacji nie Japonja myśli o agresji, lecz Sowiety, o czym świadczy dobitnie sam charakter incydentu granicznego, pod Czangkufeng, który wywołał zaognienie.

JAPONJA NIE PRZEGRA!

Wydaje nam się jednak, że Sowiety przeliczą się, stawiając na wyczerpanie i załamanie się Japonji. 100-miljonowe imperjum Mikada posiada ogromne zasoby materialne i moralne, większe niż się to wydaje obserwatorom z Zachodu. Przedewszystkiem zaś posiada jasną świadomość swej misji dziejowej i niewyczerpane pokłady heroizmu w duszach obywateli. Przeszło 1,000 lat jedna i ta sama dynastja rządzi Japonją, jej kapitał moralny nie da się porównać z niczem w świecie. Tradycja państwowa, patriotyzm, duma narodowa są głęboko zakorzenione w psychice bohaterkiej rasy Yamato. W dziejach Japonji niema ani jednej przegranej wojny. Toteż można raczej pozwolić sobie na kategoriyczne twierdzenie: Japonja tej wojny nie przegra!

CHINY — REPUBLIKĄ

Komu życzyć zwycięstwa w wypadku konfliktu? Kłóży się wahał? Sprawa Japonji jest tutaj sprawą ludzkości. Japonja to w najgorszym razie wielki i ambitny imperjalizm, oparty przytem na kulcie ładu, honoru i wartości moralnych, bolszewizm to zło zorganizowane, sojusznik żydostwa i masonerji, otchłań zamętu i zagłady. Zwycięstwo Moskwy czer-

wonej na terenie Azji to koniec naszej cywilizacji.

Jak wygląda problemat dobrej i złej zasady w Azji? Chiny są nawpół zbolszewizowane, wódz polityczny Indyj Pandit Nehru, następca Ghandiego, jest komunistą. Pozostaje tedy tylko japoński miecz samurajów, wróg bezwzględny masonji, komuny i żydostwa. Dziś miecz ten tnie naodlewcielsko chińskiego smoka. Sentyment ogólnie - ludzki każe nam współczuć ciężko dotkniętym przez los, napadniętym, pławiącym się we krwi Chinom. Nie zapominajmy jednak, że Chiny współczesne to sojusznik komuny. Czang-kai-szek walczył kiedyś, jako skromny szef szkoły kadeckiej na ulicach zrewoltowanego Kantonu, z bojówkami Borodina, agenta Moskwy, a potem, już jako naczelnik rządu nankińskiego, stawiał tamę wpływowi sowieckim; dziś jednak Borodin znajduje się znów przy jego boku, jako wysłannik Stalina, a czerwony rząd w Sze-Szuanie, zachodniej komunistycznej republice chińskiej, idzie ręką w rękę z nacjonalistycznym rządem centralnym.

Z ŻYDOSTWEM CZY Z ISLAMEM?

Gdy krwawi Daleki Wschód, jednocześnie i na Lewancie wre nieustanny ferment. Wojna domowa w Palestynie znów przybrała na sile. W ciągu ostatnich tygodni padły tam dziesiątki zabitych, setki rannych. Terrorysty żydowscy licytują się z arabskimi w zamachach i napadach wzajemnych.

Kwestja żydowska może dużo kosztować Wielką Brytanię. Islam to podstawa potęgi imperjum, połowa jego ludności, z którą rząd londyński musi ostatecznie dojść do zgody. Jak wybrnie Anglja z tego dylematu pomiędzy interesami żydostwa a uczucia-

mi świata muzułmańskiego? Czy wybierze wojnę z Islamem? Czy też grać będzie wciąż jeszcze obłudną rolę neutralnego rozjemcy?

J. Braun.

*

HISZPANJA ZAPRASZA

Zjawisko dość osobliwe: kraj, będący w stanie wojny domowej, zaprasza turystów.

Od pierwszego lipca granice Hiszpanji są otwarte dla zwiedzających. W Paryżu działa biuro podróży, w którym można się zapisywać na wycieczki grupowe bądź indywidualne. Wyjazdy w zespołach są oczywiście daleko tańsze. Koszty obejmują przejazdy pociągami i autokarami, hotele, utrzymanie i zwiedzanie pod kierownictwem wykwalifikowanych przewodników.

Dla obalenia legend, możnaby wypracowanych w biurach propagandy Frente Popular, rząd powstańczy udostępnił turystom Guernikę i inne miasta rzekomo spalone przez falangistów.

Obfitość żywności, niskie ceny, doskonały stan dróg, spokój i porządek w kraju, wszystko to stwarza dobre horoskopy dla ruchu turystycznego w odrodzonej Hiszpanji.

ROZCZYNKA

W ubiegłą niedzielę nikt nie obchodził rocznicy śmierci kanclerza Dollfusa. Przypomnijmy sobie pokrótce przebieg wypadków.

Dwudziestego czwartego lipca 1934 roku mały kanclerz, zwany przez wieśniaków Millimetternich, padł od kul morderców. Zbrodnia była popełniona w starym gmachu przy Ballhausplatz, gdzie urzędowało tylu znakomych kanclerzy potężnej monar-

przy boku Edisona. Odtąd jest sekretarzem wielkiego wynalazcy, a z chwilą powstania spółki elektryfikacyjnej „Edison Co“, przenosi się do Chicago, gdzie obejmuje nadzór nad instalacją urządzeń elektrycznych. Przez ręce Insulla przewijają się miliony dolarów.

NAGŁY WYJAZD

Jak to było, nie dowiemy się łatwo, gdyż sprawę zatuszowano. Dość, że w operacjach finansowych Insulla wyszły na jaw w roku 1932 jakieś niedociągnięcia. I to tak poważne, że na giełdzie był krach, jeden z częstych krachów amerykańskich.

Samuel Insull wsiadł na okręt i wyjechał do Europy. Zrobił to w odpowiedniej chwili, albowiem w kilka dni po jego wylądowaniu władze amerykańskie postanowiły go aresztować. Jako przestępca kryminalny, Insull nie mógł liczyć we Francji na prawo azylu. Przeniósł się więc do Grecji, która tem się wyróżniała wśród innych państw, że każdy łotrzyk, o ile miał pieniądze, bywał tam gościnnie przyjmowany.

Insull zamieszkał w Atenach i najspokojniej zajął się rokowaniami z rządem greckim, któremu zaproponował elektryfikację szlaków kolejowych. Idylla trwała jednak krótko, gdyż do sprawy wmieszali się dyplomaci.

TARG O CZŁOWIEKA

Rozpoczął się haniebny targ o człowieka. Rząd grecki oświadczył, że wyda Insulla władzom amerykańskim, o ile Stany Zjednoczone zakupią w Grecji pewną ilość wina, rodzynków, winogron, oliwy i papierosów.

Amerykanie odpowiedzieli, że win nie mogą kupić ze względu na prohi-

bicję, rodzynki i winogrona mają własne, kalifornijskie, oliwę też własną, a papierosów nadmiar. Chętnie natomiast nabędą dzieła sztuki antycznej. Na to grecy, że jednak owoce i papierosy zawsze mogą się przydać.

Wymiana zdań odbywała się w najlepsze, gdy gruchnęła wieść, że Insull uciekł z Aten.

Uciekł istotnie, na zakupionym przez się żaglowcu. Popłynął rzekomo w kierunku Aleksandrii.

Widząc, że zapowiadający się nieźle handel może się skończyć na niczem, przerażony rząd grecki zorganizował pogoń za Insulem. Z portu w Pireusie wypłynął torpedowiec. Okazało się jednak, że Insull nie dotarł do Egiptu, lecz do Konstantynopola, gdzie go aresztowała policja turecka.

EPILOG

Turcy, naród bez talentów kupieckich, nie szantażowali Ameryki, lecz zgodnie z międzynarodowym obyczajem wydali Insulla konsulowi Stanów Zjednoczonych. Konsul odesłał go do Francji, gdzie formalności z załadowaniem na okręt trwały okrągły miesiąc. Przez ten czas przyjaciele Insulla porobili w Ameryce odpowiednie kroki i w rezultacie Insull, znalazłszy się w Nowym Jorku, odzyskał wolność po złożeniu kaucji w sumie pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Proces włókł się cały rok. Ostatecznie Insull był uniewinniony i w marcu 1935 roku przyjechał z żoną do Paryża, gdzie zamieszkał.

Śmierć zabrała zagadkową sylwetkę. W kieszeni Insulla, który zasnął przy wejściu do metra paryskiego, znaleziono osiem franków. To też gazety pośpieszyły się z obwieszczeniem, że były multimilioner zmarł w nędzy. Ale wdowa po Insullu oświad-

czyła dziennikarzom, iż nie jest tak źle. Mąż pozostawił jej na koncie bankowym kilka milionów. I to nie we frankach, lecz w dolarach.

EN AVANT, MAURIAC!

Wobec tego, że generał Franco utworzył granicę hiszpańską dla turystów, osoby w rodzaju Mauriaca powinny skorzystać ze sposobności. Zwłaszcza Mauriac, który stale podkreśla, że jest niezależny i w imię tej niezależności gloryfikuje czerwonych baszybuzuków.

Ale Mauriac nie pojedzie. Musi czuwać nad akcją pojednania katolików francuskich z komunistami (wyciągnięta dłoń).

ŻYCIE TOWARZYSKIE

Ponieważ czasy są gorące, były premier Blum nie udał się na dłuższy urlop. Spędza tylko week endy w Monako, gdzie jego rodzony brat jest administratorem księstwa.

*

Sekretarz Bluma, pan Mandes-France (dlaczego France?) nabył 3.008 akcji uprzywilejowanych i 1.437 akcji zwykłych nowozałożonej spółki akcyjnej „Les grands magasins Ciclel” w Aleksandrii (Egipt). Wpłacił gotówką osiemset tysięcy franków. Pan Mandes - France jest socjalistą.

*

Z więzienia w Belgii wypuszczono pana Jouhaux - junjora, który odsiedział surową karę za przemyt karabinów maszynowych z Leodjum do Barcelony. Teraz, na tego młodzieńca wpłynęła do sądu w Bordeaux nowa skarga, dopuścił się bowiem jakiegoś oszustwa przy kupnie pałacu i posiadłości wiejskiej nad Garonną.

*

Pan Jouhaux - senjor jest jednym

z najbogatszych socjalistów w Europie. Skupuje akcje kolonialnych przedsiębiorstw górniczych, gdzie niewolnicy XX wieku, ujarzmieni batem murzyni, pracują ku chwale międzynarodowego kapitału. Jouhaux-senior jest wicedyrektorem Banku Francji oraz szefem socjalistycznych związków zawodowych.

ZWYRODNIENIE

Zwyrodnienie partii socjalistycznej we Francji jest bardziej jaskrawe, niż u nas. Menerzy proletariatu francuskiego stali się kapitalistami i zupełnie jawnie współpracują z Wielkim Kapitałem, niszczą przedsiębiorstwa czysto - francuskie, a popierają międzynarodowe.

Polska Partja Socjalistyczna też zwyrodniała, ale nie w takim stopniu. Narazie zanotujemy fakt, że ani „Robotnik”, ani „Dziennik Ludowy”, ani żadne pismo socjalistyczne nie chce się ująć za wyzyskiwanymi robotnikami koncernu Modrzejów - Handtke, gdyż w lokalu tej spółki odbywały się posiedzenia loży - matki „Kopernik” pod przewodnictwem kapitalistycznego super - rekina, b. ministra Hipolita Gliwica.

Po raz czwarty wzywamy w MERKURYUSZU przywódców PPS, aby w tym wypadku zrobili wyjątek z reguły aby machnęli ręką na dyscyplinę. i zajęli się losem kobiet, które dostają po 80 groszy za dzień pracy.

UROCZYSTOŚCI W PARYŻU

Porządkiem w Paryżu, podczas pobytu angielskiej pary królewskiej, kierował p. minister Albert Sarraut.

Wybrano nieźle szefa bezpieczeństwa, gdyż p. Sarraut ma dużą wprawę w przyjmowaniu królów. Za jego urzędowania zabito wszak w Marsylii

króla jugosłowiańskiego, Aleksandra.

Tym razem, jak wynika z opisów w gazetach paryskich, dzielnicę, przez które przejeżdżał król Jerzy VI, przypominały miasto w stanie oblężenia. Ulice były puste, wskutek czego król nie widział ludu, a lud nie widział króla. Mógł natomiast monarcha podziwiać sympatyczne oblicza tajnych detektywów, pościąganych przy tej okazji z całego kraju.

Nie róbcie takiego gwałtu, panowie socjaliści i demokraci, bo wasz czytelnik gotów pomyśleć, że król angielski zapisał się w Paryżu do Frontu Ludowego i poszedł na wódkę z panem Blumem. Wizyta — wizytą, królów zazwyczaj przyjmuje się grzecznie, ale co to ma do rzeczy?

PRZEDNIE STRAŻE

W połowie lipca pięć tysięcy Niemców sudeckich przekroczyło granicę i udało się do Rzeszy. Są to młodzi ludzie doskonale wygimnastykowani i wyćwiczeni na sposób wojskowy przez profesora Henleina. Poszli, niby to w poszukiwaniu pracy.

Czy to czasem nie jest straż przednia tych oddziałów, które w mniej lub więcej dalekiej przyszłości mają wkroczyć do ziemi Sudeckiej? Tak było ze słynnym legionem austriackim. Przypomnijmy to sobie i zanotujmy w pamięci.

ALAIN GERBAULT

Żeglarz - samotnik Alain Gerbault, który na łodzi żaglowej opłynął kulę ziemską, ma licznych wielbicieli i w Polsce. Od kilku lat wielbiciele nie mogli się dowiedzieć, co się stało z romantycznym włóczęgą. Prasa francuska przynosi obecnie garść wiadomości.

Alain Gerbault osiadł na wyspie Bora - Bora, należącej do archipelagu wysp Towarzyskich. Mieszka wśród krajowców, chodzi nagi, z przepaską na biodrach, i nie chce oglądać obcych przybyszów. Podobno Gerbault nie zamierza wracać do Europy.

Z.

Bujda balonowa

Nie nasz to tytuł, lecz Edgara Allana Poe, jak Szanowni Czytelnicy wiedzą z poprzednich MERKURYUSZÓW, który tak ochrzcił jedną ze swych niezapomnianych humoresek. Ale, choć tytuł nie nasz, wybornie maluje charakter imprezy, zwanej „polskim lotem do stratosfery“.

Bujda balonowa.

Tak, niestety, cała ta impreza jest bujdą niesłychaną. Bujdą niebotyczną. Bujdą na 15 km. wzwyż.

REKLAMOWY TUMAN

Nie zajmowalibyśmy się nią wcale, gdyby nie powszechne milczenie prasy niezaangażowanej w locie, milczenie, jakby potwierdzające, którym ta prasa przyjmuje rozgłośny wrzask kilku gazet bulwarowych, czyniących z lotu „sensację“.

Tedy, ponieważ odbywa się reklamowe ogłupianie P. T. publiczności, ogłupianie en masse, ogłupianie bez najmniejszych skrupułów; ponieważ organizatorzy zdołali, mówiąc ich żargonem, „stuknąć“ skarb państwa na przeszło milion złotych, potrzebnych na ów lot; ponieważ te pieniądze można, bez cienia przesady, określić, jako wyrzucone w błoto; ponieważ czasy są zbyt ciężkie, skarb państwa ma zbyt mało pieniędzy, a podatnicy zbyt ciężko pracują, aby można było patrzeć spokojnie na wyrzucanie w błoto tego miliona złotych ludzkiej krwi

wicy; ponieważ lot nie da żadnych korzyści, obiecywanych przez organizatorów, a jest tylko trickiem reklamowym dla kilku brukowców i kilku spryciarzy, drapujących się (bez kwalifikacji potemu) w togę uczonych — a cała prasa na to nic — przeto musimy otworzyć ludziom oczy na prawdziwy charakter tej imprezy, musimy rozbić w drobne drzazgi tę kolubrynę blagi, musimy założyć jaknajbardziej ostry protest przeciwko niej, aby zaś kiedyś, historyk przyszłych pokoleń nie napisał, że w roku 1938, gdy odbywało się cyniczne grabienie grosza publicznego na prywatną imprezę reklamową kilku profesorów i kilku grassantów prasowych — cała prasa polska zsolidaryzowała się z tą aferą milczeniem.

PIĘĆ MINUSÓW

Co należy przedewszystkiem stwierdzić, gdy jest mowa o balonowych lotach do stratosfery?

Że były one modą, niczem więcej, tylko modą.

To raz.

Powtóre: moda ta minęła. Dziś już żadne państwo lotów balonowych do stratosfery nie urządza. Czemu, to się zaraz pokaże. Narazie fakt: moda na stratostaty, czyli olbrzymie balony wysokościowe, minęła i nawet z tego mizernego punktu widzenia biorąc, polski lot do stratosfery jest spóźniony o dobre trzy lata. Dosłownie, conajmniej o trzy lata jesteśmy spóźnieni. Okres budowy stratostatów osiągnął swój punkt szczytowy sześć, siedem lat temu, gdy odbył się szereg głośnych lotów. W roku 1934 było pięć lotów, w roku 1935 już tylko jeden. Ostatni. Od roku 1935 loty balonowe wszędzie zarzucono.

Czemu? Ponieważ zrozumiano wreszcie całkiem jasno, że stratosta-

ty mają pięć minusów, a ani jednego plusa.

Rozważmy sprawę szczegółowo.

NIESPRAWNOŚĆ

Pierwszym minusem stratostatu jest jego niesprawność. Balony wogóle, jak to wiadomo nawet laikom, są wyjątkowo niesprawnymi narzędziami lotu. Już genialny Prus zauważył w „Lalce” ustami Ochockiego, że lot balonem jest swego rodzaju nienormalnością, że „wszystko, co prawidłowo lata, od muchy poczynając na orle kończąc, jest cięższe od powietrza”.

Balon wznosi się niezbyt wysoko, a już żadną miarą nie daje się kierować, zwłaszcza t. zw. balon wolny. Jest całkowicie zdany na łaskę wiatrów. To skolei pociąga za sobą szereg dalszych niedomagań, z których jedno, jak niemożność wyboru pola badania, konieczność stosowania się do pogody i pory roku, poprzestawania na badaniach urywkowych, fragmentarycznych i t. d. redukuje wyniki naukowe, sprowadzając je nieraz do zera — a inne, jak konieczność budowania coraz większych statków wzmagają kosztą w sposób wręcz absurdalny.

TAK JEST, ABSURD

Wyrażenie to bynajmniej nie jest przesadne. Aby pobić wszystkie dotychczasowe rekordy, organizatorzy polskiego lotu do stratosfery muszą budować balon, wysokości około stu dwudziestu metrów, to jest wysokości trzydziestu kilku pięter. Praktycznie biorąc, jest to ostateczna granica tej zabawy w stratosferę, gdyż dalsze powiększenie wielkości balonu jest rzeczą niemożliwą. Gdyby kto chciał wznieść się już tylko o 4—5 kilome-

trów wyżej, musiałby zbudować balon dwukrotnie większy, kosztujący kilka milionów złotych. Na pieniądze przekłada się to tak, że każdy dalszy kilometr w górę kosztowałby milion złotych. Ale to tylko w teorii. Praktycznie budowa takiego balonu byłaby nonsensem.

To też polski lot do stratosfery nie da żadnych doświadczeń technicznych, jako, poprostu, doświadczenie niepowtarzalne, jako *ostatni z serii* budowanych super - balonów.

Już bowiem nieboszczyk Stańczyk zauważył, że wszystko można poprawić, wyjąwszy to, co się zrobiło w swej *ostatniej* chwili.

Z tego prostego rachunku widzimy, jak nam mydłą oczy gazety brukowe, które dzień w dzień pieją o „ko rzyściach i zdobyczach konstrukcyjnych“ w zakresie budowy stratostatów. Żadnych korzyści konstrukcyjnych w budowie nie będzie, poprostu dlatego, że nie będzie już żadnych stratostatów. Chyba, że ober-fizyk z Politechniki warszawskiej będzie chciał się zareklamować raz jeszcze i znowu stuknie skarb państwa, tym razem, na kilka milionów?

MINIMALNA CELOWOŚĆ

Drugim minusem balonów stratosferycznych jest ich ograniczona celowość.

Loty stratosferyczne balonem mają znaczenie w dwu tylko dziedzinach: meteorologii i badania promieni kosmicznych. Do żadnych innych celów (wojskowych, kartograficznych, komunikacyjnych i t. d. i t. d.) balony stratosferyczne nie nadają się zupełnie.

Ale nawet i ta ograniczona celowość wygląda dość mętnie w porównaniu z innymi środkami badania, mianowicie z balonami - sondami, lub

samolotami stratosferycznymi t. zw. stratoplanami. Dwa, czy trzy kilometry wyżej w stratosferze, nie mają dla badań meteorologicznych czy promieni kosmicznych znaczenia decydującego, *przełomowego* i żadną miarą nie można doszukać się sensu w wyrzucaniu setek tysięcy złotych dla zbadania na 30-tu kilometrach w górze tego, co już mniej więcej tak samo wygląda na 25-u. To pewna, że *rewelacji* naukowych pobicie rekordu poprzedniego nie przyniesie.

Pocóż tedy budować milionowym kosztem balony, gdy o wiele lepsze wyniki osiąga się przy pomocy balonów - sond, lub stratoplanów? Balonsonda, czyli niewielki balon, zaopatrzony tylko w aparaty rejestrujące wzniesie się wyżej, i mniejszym kosztem, niż pilot, zmuszony pokonywać każdy następny kilometr w górę — setkami tysięcy złotych?

SPRZECZNOŚĆ W CELACH

W polskim locie do stratosfery celowość stoi wyraźnie pod znakiem zapytania. Z tej mianowicie przyczyny, że — ze szczegółów konstrukcyjnych sądząc — nie wiadomo, o co organizatorom chodzi: o pobicie rekordu wysokości, czy o wyniki badawcze? Krótko mówiąc: o sport, czy o naukę?

Dwa te cele są ze sobą sprzeczne i w idei przewodniej konstrukcji balonu najwyraźniej przebijają pomieszanie obu tych celów. Rzecz ma się tak:

Dotychczas rekord wysokości lotu stratosferycznego wynosi 22 kilometry. Nasi baloniarze zapowiadają pobicie tego rekordu conajmniej o 8 kilometrów (Kurjer Czerwony rozpęda się i na 40 kilometrów wzwyż). Otóż pobicie rekordu wysokości da się osiągnąć albo przez bardzo znaczne powiększenie objętości balonu, al-

bo przez zmniejszenie jego wagi.

Ale, jak powiedziano: tylko bardzo znaczne zwiększenie objętości balonu pozwoli mu wznieść się wyżej. W praktyce więc zysk na wysokości można otrzymać tylko przez zmniejszenie wagi: użycie lżejszej i cieńszej tkaniny, znacznie wrażliwszej na działanie wiatru i skorupy lodowej (polska tkanina jest cieńsza, niż bibułka do papierosów), tudzież przez zmniejszenie wagi i wymiarów gondoli, oraz liczby przyrządów naukowych.

CZYSTA BLAGA

Ale: im mniej będzie przyrządów naukowych, tym wyżej wprawdzie pójdzie balon, lecz tym mniej wartościowe będą obserwacje. Inny balon potrzebny jest do celów sportowych, inny do celów naukowych. Łączenie obu celów nie ma żadnej racji. Rekord wysokości można pobić kilkakrotnie mniejszym, niż ten 120-metrowy gigant i co za tem idzie, o wiele tańszym balonem.

Czemuż więc, jeśli idzie o sport konstruktorzy budują balon tak wielki?

Z drugiej strony: wyniki naukowe, sądząc z przygotowań technicznych, nie będą tak rewelacyjne, aby usprawiedliwiły całą imprezę. Przygotowanie techniczno - naukowe powinno być kilkakrotnie bogatsze. Prawda, że ten balon nie pociągnie więcej — ale, w takim razie, jeśli idzie o naukę, czemu konstruktorzy budują tak mały balon?

POTWORNE KOSZTY

Krótko mówiąc, o co chodzi organizatorom, że chcą łączyć dwie sprzeczności, że się wpędzają w ślepą uliczkę? O sport, naukę, czy poprostu: czy stać blagę?

Trzecim minusem są koszty, które trudno nazwać inaczej, niż potwornymi. Wspomnieliśmy przed chwilą o tej sprawie.

Dotychczas finansowa strona polskiego lotu do stratosfery trzymana jest w ścisłej tajemnicy. Nie wiadomo, ile wydano, nie wiadomo, ile impreza pochłonie w całości. Pisze się w gazetach, że rząd dał na ten cel tylko pół miliona złotych.

Zapytywałem jednak fachowców, kilku wybitnych fachowców, jak ta zabawa wygląda od strony kosztów? Zgadniają się wszyscy, że wydano dotychczas przeszło milion złotych. Ile wyda się jeszcze? Nie wiadomo.

W każdym razie do ukończenia budowy i startu potrzebna będzie jeszcze gruba suma, taka, że za te pieniądze możnaby urzeczywistnić o wiele pożyteczniejsze pomysły, nawet i w dziedzinie badania stratosfery — niż ten pomyłony lot.

ŚLEPY PRZYPADEK

Innym minusem, ciężącym, jak klątwa nad balonowymi lotami do stratosfery, jest ślepy przypadek. Balony nie tylko są niesprawne, bezwładne, wątpliwie celowe, kosztowne. Przedewszystkiem poddane są wszechwładnemu panowaniu ślepego przypadku.

Każdy inny sposób lokomocji stratosferycznej, a przedewszystkiem stratoplan, samolot wysokościowy, może być *wypróbowany*. Instytuty badań stratosferycznych posiadają „stratosferyczne“ tunele próżniowe, w których się bada samolot, lub jego model, motor ze śmigłem i t. d. Szybkość powietrza, przepuszczanego przez kanał można regulować dowolnie, w granicach od zera do kilkuset kilometrów na godzinę. Tunel próżniowy wyposażony jest w specjalne

urządzenia, pozwalające na rozrzedzenie powietrza od stanu normalnego do ciśnienia jednej setnej atmosfery. Można regulować także temperaturę tego powietrza, zwiększać ją, lub obniżać do 60 stopni poniżej zera. Można stosować wedle woli stopień wilgotności, wytwarzać powietrze zasnieżone, lub zlodowaciałe, wytwarzać sztuczne burze śniegowo - lodowe, chmury z kryształków, lub igiełek lodowych (cirrus) i t. d. i t. d., krótko mówiąc, można sztucznie wytworzyć warunki, spotykane w stratosferze, aż do wystawiania samolotu, czy jego modelu, na działanie — wichru rozrzedzonego, do jednej setnej atmosfery, powietrza o temperaturze 60 stopni poniżej zera, pędzącego z szybkością 600 kilometrów na godzinę — czy też — temperatury z jednej strony bardzo wysokiej, a z drugiej bardzo niskiej, tak jak to się dzieje z aparatem wystawionym na działanie słońca w stratosferze, gdzie rozrzedzone powietrze nie wyrównywa różnic temperatury.

A cóż to jest możność czynienia prób? Zmniejszenie roli przypadku do minimum.

I w wyprawie stratoplanem można to uczynić. Stratostatu wypróbować nie można i dlatego każdy lot balonem to nowy eksperyment, to puszczanie się na ślepo, to zwiększenie ryzyka do granic wręcz karygodnych.

NIEBEZPIECZEŃSTWO

Piątym minusem, to tysiące niebezpieczeństw, związanych nieodłącznie z lotem balonowym.

Już o projektowanym przez prof. Piccarda locie znawcy wypowiedzieli się ujemnie. Zwłaszcza jeden z największych autorytetów w tej dziedzinie, prof. Mołczanow, potępił uży-

cie zbyt cienkiej tkaniny na powłokę balonu, która, jego zdaniem, nie wytrzyma naporu wiatru przy wzlocie, naporu na 112 tysięcy metrów sześciennych.

A pojemność polskiego balonu będzie jeszcze większa. A tkanina naszego balonu będzie jeszcze cieńsza. Czytałem pełne jakiejs dziecięcej pychy artykuły prasy czerwonej, opisujące cienkość tkaniny naszego balonu, rozpływające się nad tą cienkością, jakby rzeczywiście było to sukcesem do rzeczy. Można tylko nad tem pokiwać głową. Bo o cóż chodzi? O majstersztyk tkacki, czy o lot do stratosfery? A lot do stratosfery balonem tak olbrzymim, powleczonym tkaniną tak cienką — przecież to czysty obłęd!*)

*) Już na wysokości cirrusów, t. j. 10—11 kilometrów cały balon pokryje szkliwo lodowe. Najdrobniejsze złamanie tej skorupy wytworzy ostrza, cienkie jak brzytwa. Balon będzie przytem wystawiony na działanie wichru. Proszę sobie wyobrazić skutki.

Istnieją środki, przy których pomocy można zredukować tworzenie się skorupy lodowej na tkaninie. Ale rzecz w tem, że środki te można wypróbować w warunkach bardzo odległych od rzeczywistości, mianowicie nie na tkaninie, wypełnionej setkami tysięcy metrów sześciennych gazu i kręcącej się razem z balonem w piekielnej karuzeli.

Pod wpływem bowiem wiatru balon ma nieustanny ruch obrotowy. Im wyżej będzie się wznosił, tem silniejszy będzie wicher, tem straszliwszy mróz. Kręcąc się dokoła swej osi, balon będzie nieustannie wystawiony w połowie na działanie słońca oślepiającego, parzącego, pozbawionego izolatora powietrza, a w połowie na działanie czarnej, straszliwie mroźnej nocy. Czy po kilkuset obrotach w tych warunkach tkanina będzie miała te same właściwości, co z początku? Czy wreszcie nie zacznie się tworzyć ostra, jak brzytwa skorupa lodowa? Wciąż topiona z jednej strony przez słońce (topiona? Mówiąc językiem pospolitym: gotowana w ukropie), a z drugiej mrożona 60-oma stopniami poniżej zera i to wśród huraganowego wichru?

Krótko mówiąc, jak sobie konstruktorzy wyobrażają wykluczenie choćby najmniejszego rozdarcia przy wzlocie i potem, na wysokości? Przy tkaninie tak cienkiej?

WODÓR

Innem niebezpieczeństwem jest wodór. Katastrofy sterowców niemieckich dostatecznie już chyba uwydatniły to niebezpieczeństwo, aby się nad niem rozwodzić i wystarczy stwierdzić tylko, że użycie wodoru, co się projektuje przy polskim balonie, jest rzeczą stanowczo niedopuszczalną.

Napełnianie tak olbrzymiej (luźnej!!!) powłoki wodorem pociąga za sobą niebezpieczeństwo eksplozji wskutek „samozapalenia“ się wodoru, niebezpieczeństwo, przekraczające granice ryzyka dopuszczalnego w sposób bezprzykładny. Przy tarcu powłoki i przechodzeniu wodoru przez jej fałdy możliwość powstania iskry (zwłaszcza w tem miejscu, gdzie pozostała choćby odrobina powietrza) jest nawet przy mniejszych balonach tak wielka, że amerykańanie wypełniali stratostat naprzód niepalnym dwutlenkiem węgla, a dopiero potem wpuszczali wodór, który, jako lżejszy, zbierał się u wierzchołka balonu i wypierał bezwodnik kwasu węglowego.

Napełnienie tak olbrzymiego balonu niepalnym helem byłoby elementarnym warunkiem uczciwości organizatorów i na swoje sumienie biorą ci ludzie życie lekkomyślnych pilotów, którzy chcą odbyć ten nikomu niepotrzebny lot.

POCO? NACO?

Mówimy: byłoby. Gdyż pytajmy na koniec: czy ten lot ma się odbyć? Czemu mamy marnować przeszło milion złotych na modę, która już minęła? Czemu wyrzucać ciężko zapracowany grosz na imprezę, której jałowość zrozumiały już wszystkie kraje

świata? Które już ją zarzuciły raz na zawsze? Od kilku lat?

Czy nie lepiej te tysiące metrów kwadratowych tkaniny obrócić na balony wojskowe, niż ją marnować bez pożytku? Czy nie lepiej te pieniądze, które chce się wyrzucić w błoto — obrócić na budowę Instytutu Stratosferycznego i loty stratoplanowe, które, wbrew zuchwałym artykułom prasy brukowej, tak wspaniałe wyniki dają zagranicą?

Lotnik angielski, por. Adam na samolocie Bristol z motorem Bristol o mocy 270 HP pobił (30.VI.37 r.) oba rekordy Piccarda, osiągając wysokość 16 tysięcy 440 metrów. W roku 1936 inny lotnik angielski osiągnął przeszło 15 kilometrów, a francuski 14.843 metry. Włoch Donati wzniósł się już w roku 1934 na 14 i pół kilometra. Obecnie lotnicy włoscy stale wylatują na 16 kilometrów.

ZADANIA WOJSKOWE

Dla zadań wojskowych wysokość ta jest aż nadto wystarczająca. Lotnik jest na tej wysokości niedosiegalny żadną bronią z ziemi i szereg zadań militarnych (fotografia, bombardowanie i t. d.) wykonuje na terytorjum nieprzyjacielskim bezkarnie.

Samolot stratosferyczny może przelecieć (na wysokości 16 kilometrów) Ocean Atlantycki w 4—5 godzin t. j. w czasie dwadzieścia pięć razy krótszym, niż najszybsze okręty.

W miarę rozwoju lotu stratoplanowego wszystkie wyniki badań w stratosferze będą niewątpliwie i wielokrotnie wzbogacone, gdyż kabina samolotu stratosferycznego może być wyposażona w aparaty naukowe w sposób, z którym wyposażenie ciasnej gondoli balonu nie wytrzymuje żadnego porównania. Zamiast ciasnego

kąta, mizernej klatki, można będzie wysyłać do stratosfery całe, bogato urządzone laboratorja. Już Braddock i Gilbert w roku 1936 uzyskali w samolocie stratosferycznym na wysokości 10 kilometrów, w zakresie badań promieniowania kosmicznego wyniki zdumiewające, a przede wszystkim o wiele dokładniejsze i wszechstronniejsze od wyników, uzyskanych w gondoli stratostatów.

NAWET ZSSR

Nawet Sowiety zrozumiały wagę lotniczych badań stratosferycznych i zarzucając bujdy balonowe, utworzyły przy Ossoawiachimie komitet stratosferyczny, w którym pracuje liczny sztab uczonych, techników i lotników, przekraczający trzysta osób. Komitet ten, pozostający w ścisłym kontakcie z instytutami badawczymi wyższych zakładów naukowych, głównego obserwatorium geofizycznego i t. d. kierowany jest przez znanego uczonego prof. Wawilowa.

W ciągu ostatnich pięciu lat powstała w Sowietach bogata literatura naukowa, techniczna, propagandowa, poświęcona stratosferze (w roku 1936 wyszedł gruby tom, liczący 927 stron, poświęcony sprawozdaniu z pierwszej konferencji stratosferycznej). Oto, jak pracuje Azja.

A my? Dajemy się nabierać na bujdy balonowe.

J. B.

Pisma Ojców Kościoła, tom IV.

ŚW. JUSTYN, FILOZOF I MĘCZENNIK APOLOGIA-DIALOG Z ŻYDEM TRYFONEM

Wstęp, tłumaczenie z greckiego, objaśnienie, skorowidze — napisał Ks. Biskup dr. A. Lisiecki.

Str. CXV + 380. Cena zł. 20.—

Wydawnictwo Jana Jachowskiego
Poznań, ul. Kantaka 8-9.

Do rąk własnych

JWPana Mecenas

MARJANA NIEDZIELSKIEGO

w Warszawie ul. Jasna 10

Potwierdzając Zaszczytne Pismo JWPana Mecenas z dnia 30 czerwca r.b., zawiadamiające, iż wytacza JWPan MERKURYUSZOWI, w imieniu związku spółdzielni „Społem“, proces o zniesławienie, zato, że napisaliśmy, iż „Społem“ jest to ekstrakt bolszewizmu — śpieszymy zakomunikować najuprzejmiej, iż oczywiście stawimy się na rozprawę w terminie przepisany, już nie dlatego, by świadkami i dokumentami dowodzić, że mamy rację, ale przede wszystkim dlatego, by mieć nieopisaną przyjemność podziwiania rzymskości JWPana.

Trochę, coprawda, nie możemy oprzeć się lekkiemu zdumieniu, że tak powszechnie znany fakt, iż „Społem“... jakby tu delikatnie powiedzieć, aby JWPana nie urazić?... no, powiedzmy, że „Społem“ dąży do zmiany ustroju gospodarczego Polski w duchu teorii Lenina — że, powiadam, ten znany fakt jest JWPanu Mecenasowi obcy? Nie wątpimy bowiem ani na chwilę, iż JWPan objął sprawę „Społem“ przeciwko MERKURYUSZOWI w najlepszej wierze, w najczystszej intencji i gdyby JWPan Mecenas miał choć cień wątpliwości iż sprawa nie jest zupełnie w porządku, że „Społem“ rzeczywiście... coś... tego... trochę Leninem zalatuje, toby jej JWPan Mecenas, w dodatku przeciwko tak ciężko walczącemu MERKURYUSZOWI, nigdy nie przyjął.

W przekonaniu tem upewnia nas, primo: Catońska cnota JWPana Mecenas, którą uzewnętrznia JWPan na forum sądowem. Secundo: upew-

niąją nas rzymskie gesta JW Pana, na onemże forum demonstrowane, a świadczące ponad wszelką wątpliwość, że w JW Panu żywie duch Ciceronów, Porcyuszów Catonów, Semproniuszów Grakkchów, Antoniuszów, Licyniuszów Krassów, Hortensjuszów... Tertio: pewnośc tę daje nam szlachetny, iście utyczeński patos JW Pana i chybaby człowiek oczu nie miał, aby nie dojrzał, że to drugi Brutus stoi na trybunie!

Oczywiście tedy, jeśli taki rzymianin... konserwatysta!... kolega polityczny ks. Radziwiłła!!!... bierze sprawę „Społem“, to ani na chwilę nie wątpi, iż „Społem“ nie ma nic wspólnego z Leninem. Nigdyby, przenigdy! bolszewickiej sprawy nie bronił taki konserwatysta, taki rzymianin!

Jeszcze kilka tygodni temu nie wiedziałem, co myśleć o rzymskości JW Pana Mecenas. I to tak dalece, że mając inny proces, z ponuremi masoniszczami z Syndykatu (w ostatnich czasach, jak JW Pan widzi, nie mogę uskarżać się na brak procesów) — u myśliłem w swej naiwności powierzyć tę sprawę tak sławnemu adwokatowi, jak JW Pan Mecenas. Chętnie podzielię się tem wspomnieniem z JW Panem, żywiąc niepłonną nadzieję, że zainteresuje Go ono wysoce.

Otóż, było to tak. Gdym szedł do JW Pana, kalkulowałem sobie, że może, zważywszy, iż to pro publico bono, że sprawa obywatelska, że MERKURYUSZ to nie Crédit Lyonnais... krótko mówiąc, majaczyło mi się (nawnie, przyznaję, że naiwnie) — iż może JW Pan podejmie się tej sprawy honorowo?

Już na schodach ruszyły mnie jednak wątpliwości i powiedziałem sobie:

— Tak mi się coś zdaje, bratku, że od pięćdziesiątka się nie wymigasz.

Gdym wszedł do salonu, odrazu po-

jąłem, że ta pięćdziesiątczyna, to kurom na śmiech. Nawet uczułem wstyd, że mógł coś podobnego pomyśleć. Ale jeszcze się łudziłem, że może się ta zabawa okroi jakąś setką?

Wszakże nurtowały mnie czarne przeczucia. Gdym patrzył na te bronz, na te stiuki, na te antyki, na te Ruysdaele, ogarniał mnie coraz większy niepokój.

— Przecież — gryzło mnie coś na wnętrzu — przecież się nie mylę? To autentyczny, gdański zegar kurantowy, który się z dziecinna radością pociąga za sznurek, by stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek? Lat chyba, lekko licząc, bitych dwieście, jak orzech zgryzł? Przecież te bronz... te Ruysdaele... a ten wazon?... albo mam krótki wzrok, albo to autentyczna Satsuma?... A Niedzielscy, to znowu nie taka rodzina, żeby Ruysdaele i Satsumy... tak z ojca na syna...

— No to w takim razie — zmroziła mnie myśl złowroga — no to w takim razie, ani chybi, dwieście pistolów pięknie. Poooszło! Z dwustoma pistolami, możesz się, bracie, pożegnać. Na dwustu pistolach możesz postawić krzyżyk. Przepadło dwieście pistolów, niema gadania.

Raz jeszcze spojrzałem na te Satsumy i Ruysdaele i nagle przeszły mnie ciarki. A może i te dwieście złotych...?!

Uczułem niepohamowaną ochotę zmiany miejsca. Zapragnąłem gwałtownie znaleźć się w MERKURYUSZU, gdzie na ścianie nie wiszą żadne Ruysdaele, tylko afisz „Sadzimy drzewa“ i mapa nowego podziału województw, gratis nadesłana przez Główny Urząd Statystyczny. Krótko mówiąc, targała mną jedna, krótka i nieskomplikowana idea: „Wiać“. Właśnie się podniosłem z cichym, ale niezłomnym zamiarem dania dęba, gdy drzwi się otworzyły i wszedł

przystojny młodzian, w' wytwornie skrojonym garniturku. Był to Aplikant JWPana Mecenasa.

Gdym mu wyłuszczył przedmiot wizyty i bąknąłem nieśmiało, że na jakieś dwieście, trzysta (dodałem co-prędzej, sam nie wiem, jakim sposobem) złotych honorarjum jestem przygotowany...

— Och, ta suma Pana Mecenasa wcale nie urządza — uśmiechnął się lekceważąco młody człowiek, aż uczułem ponsy na twarzy — ta suma Pana Mecenasa wcale nie urządza i albo potraktuje rzecz całkiem honorowo, albo zrezygnuje.

Rozstaliśmy się na tem, że zatelefonuję jutro i pełen gorzkiego gniewu i upokorzenia poszedłem do stu djabłów. Nazajutrz walczyłem z sobą. Jednak wypadało zatelefonować. Oczywiście dowiedziałem się od aplikanta, że ta sprawa JWPana Mecenasa nie interesuje.

Oto wspomnienie, które mi przyszło na myśl, gdym czytał Zaszczytny List JWPana. Sądzę, że zainteresuje Go ten epizod, łączący się tak ściśle ze sprawą, wbrew temu, coby mogły sądzić umysły powierzchowne i mniej rzymskie, nieprawdaż? Nieprawdaż, że rozumiemy się doskonale, JWPanie Mecenasiu? He, he, he...

Proszę przyjąć najuprzejmniejsze gratulacje z powodu objęcia przez JWPana sprawy „Społem“. Najuprzejmniejsze i najbardziej radosne. Bo nie wątpię ani na chwilę, że ta sprawa JWPana urządza. „Społem“ może urządzić, o! może. To m-ł-l-j-o-n-ow-a instytucja. „Społem“ może znakomicie urządzić. ZNAKOMICIE.

Życzę dalszego powodzenia, Panie Mecenasiu! I powiększenia galerji Ruysdaelów. A propos: niedaleko JWPana, na Jasnej, tuż przy Świętokrzyskiej, jest do nabycia kapitałny Petter, Paulus Petter, bagatelka:

szesć i pół tysiąca wszystkiego, szalona okazja, wart conajmniej dwadzieścia.

A więc do zobaczenia na rozprawie. Z największą przyjemnością będę podziwiał rzymskość JWPana, o której już teraz wiem, co myśleć. (A Petterka radzę nabyć).

Proszę przyjąć najuprzejmniejsze wyrazy, Panie Mecenasiu, tysiące uprzejmości.

J. B.

P.S. Z Petterkiem radzę się pośpieszyć, łakoma rzecz. Nie ręczę, czy dotrzyma do sprawy.

Nasi współcześni

PREZYDENT

FRANKLIN ROOSEVELT

który zamierza zrobić porządek w Europie

Tego tylko brakowało!

Gazety z 21 lipca przyniosły wiadomość o projektowanej podróży prezydenta Roosevelta do Europy.

Czyżby już tak źle było z Wielkimi Demokracjami, skoro po manifestacjach angielsko - francuskich w Paryżu okazała się konieczna jeszcze jedna manifestacja, przyjazd prezydenta U. S. A., jak niegdyś Woodrowa Wilsona?

Analogji można się dopatrzeć, bo wszak toczy się teraz wojna, wprowadzie bezkrwawa, ale wojna, państw nacjonalistycznych z państwami, które przez grzeczność nazywamy „demokratycznymi“.

Polska nie należy do żadnego z tych bloków, to też tem łatwiej nam będzie skreślić sylwetkę dostojnego gościa, który zresztą, nie wiadomo jeszcze, czy przyjedzie.

Gdyby jednak przyjechał, powtórzyłaby się historia z roku 1919, kiedy to prezydent Wilson spadł jak ja-

strząb na naszą starą Europę, narobił niebywałego i zamieszania, nakotłował, napsuł, nawywracał, wszystkich ze wszystkimi pokłócił, a potem umył ręce i wycofał się z awantury, gdyż doktryna Jakóba Monroego nie pozwala amerykańcom angażować się zbyt daleko poza Ameryką. Na zakończenie prezydent Wilson zwarjował, co nam tłumaczy niektóre z jego posunięć.

Niestety, prezydent Roosevelt nie jest warjatem, co nas zmusza do tem baczniejszej uwagi na jego posunięcia.

Już w jesieni ubiegłego roku mieliśmy nieprzyjemne uczucie, słuchając przez radio mowy prezydenta Roosevelta, wygłaszanej do europejczyków. W mowie tej najwyższy dostojnik U. S. A. dawał nam wskazówki, jak mamy postępować i jak się zachowywać. Zlekka poklepywał nas po ramieniu, to znów karmił, nazywał nacjonalizm wrogiem ludzkości nr. 1 i dawał za wzór własną, amerykańską demokrację.

ONI NAS UCZĄ

Jakoś nieswojo czuliśmy się, słuchając tych pouczeń płynących z ojczyzny gangsterów, kidnapperów i bootleggerów. Z kraju, gdzie rok rocznie wieszają kilkuset murzynów za „rassenschande“, gdzie jednak Senat nie ma odwagi sprzeciwić się temu zwyczajowi. Z kraju, który zgórą przed stu laty, bo w roku 1923 ogłosił hasło „Ameryka dla amerykańców“, hasło wcale nie gorsze od „Ein Reich, ein Volk...“

My, Europejczycy, jesteśmy stadem potulnych baranów. Bo któż to protestował po pamiętnej mowie prezydenta Roosevelta? W Polsce, jeżeli nas pamięć nie zawodzi, tylko jeden

graniczne poprzestały na podaniu mowy w skrócie, z pominięciem ustępów, które nam bezwzględnie ubliżały. Teraz tenże Roosevelt gotów przyjechać do Paryża. I znów będzie przyjmowany, i znów nam naurąga i na zakończenie da za przykład własnych ziomeków z których co drugi, rozumując po europejsku, powinien siedzieć w kryminale.

W TOWARZYSTWACH ŻEGLUGI

Teraz pomówmy o karierze Roosevelta, karierze bardzo typowej dla Stanów Zjednoczonych. O pochodzeniu tej rodziny, która bynajmniej nie jest „yankee“ jak to sobie u nas wyobrażają, napiszemy dalej.

Franklin Roosevelt ukończył trzyletni kurs przygotowawczy w Harvard - University pod Bostonem, gdzie zdał celująco egzamin z zespołu przedmiotów zwanych „phi-beta-kappa“, czyli nauk klasycznych, ułatwiających studia prawnicze. W roku 1904 zapisał się na wydział prawny uniwersytetu Columbia, a w roku 1905, jako młody student, pojął za żonę pannę Annę Eleonorę Rooseveltównę, własną kuzynkę, a bratanicę Teodora Roosevelta, ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. To mu otworzyło, jak łatwo się domyśleć, drogę do kariery prawniczej i politycznej.

W Ameryce niema długich aplikan tur adwokackich. W roku 1907, zaraz po ukończeniu studjów, Franklin Roosevelt został sekretarzem jednego z najwybitniejszych prawników nowojorskich, którego specjalnością było wystąpienie w imieniu wielkich towarzystw żeglugi transoceanicznej. Ta praktyka odbiła się na dalszej karierze Roosevelta, który, podczas wojny europejskiej, z niezwykłym talentem uzupełniał tonnaż malejącej,

wskutek napadów łodzi podwodnych, floty amerykańskiej. Ale nie wybiegajmy zbyt naprzód.

PUPIL BANKU KUHN, LOEB ET CO

W roku 1910 Franklin Roosevelt został senatorem, a w dwa lata później podjął się przeprowadzenia kandydatury Wilsona.

Była to zaciekle walka dwu ugrupowań kapitalistycznych. Wilsona popierał trust banków nowojorskich, reprezentowanych przez słynną, choć nie rzucający się w oczy bank pod nazwą „Kuhn, Loeb et Co“. Człowiekiem, który z polecenia tej spółki dawał pieniądze na wybory, był bankier Jacob Schiff, ten sam, który podczas kongresu wersalskiego rozkazywał Wilsonowi i ustalał granice państw europejskich.

Do tej kompanji bankierów - kosmopolitów dostał się już wówczas Franklin Roosevelt i pozostał jej wierny, za co banki odwdzięcały się, finansując z kolei jego wybory. Mamy więc wyraźną filjację poszczególnych etapów kariery tego męża. Hasłem jej będzie odtąd demokracja, odmieniana na wszystkie sposoby, a śmigłem, które nadaje rozpęd, będzie firma nowojorska „Kuhn, Loeb et Co“.

NADZORCA WILSONA

Nie wszyscy może pamiętać, że podczas rokowań w Wersalu, obok prezydenta Wilsona kręcił się młody prawnik, jegomość jowialny, zpanowany i stale uśmiechnięty. Był to p. Franklin Roosevelt, bez specjalnego przydziału i zajęcia. Ale w Wersalu wiadano, że ów Roosevelt wymienia depesze z Nowym Jorkiem oraz, że prezydent Wilson spełnia w zysk-

kie rozkazy napływające z Wall Street.

Już w tym czasie, kiedy ustalano granice państw i powoływano do życia Ligę Narodów, prezydent Wilson zaczynał zdradzać objawy choroby umysłowej. Jego adjutant Roosevelt był tym człowiekiem, który, zgodnie z wolą bankierów nowojorskich, doprowadził do końca rozbiór największego mocarstwa katolickiego, Austro - Węgier, i który przypilnował montowania największej imprezy maślanej, Ligi Narodów.

Przez ręce Roosevelta przeszła też przypuszczalnie słynna depesza Jacoba Schiffa, który nam odebrał ujście Wisły i Śląsk. Obie te dzielnice były już Polsce przyznane przez konferencję wersalską, po nadejściu zaś depeszy od Schiffa (28 maja 1919 roku) Wilson zaparł się poprzednich oświadczeń. Zmusiło to Polaków do urządzania powstań śląskich i dało początek Wolnemu Miastu nad Wisłą, za co teraz tak drogo płacimy.

ŻYWOTNOŚĆ

Mniej więcej w rok po brewerjach wersalskich, Wilson do reszty zwarjował, a jego pomocnik Roosevelt był tknięty paraliżem. Odjęło mu władzę w nogach i to tak gruntownie, że przez kilka miesięcy leżał w łóżku. Elektryzacja, masaże, naświetlania — nic nie pomagały. Zdawało się, że chory zostanie kaleką.

Lekka poprawa nastąpiła w roku 1924. I tu podziwiać wypada niezwykłą żywotność Roosevelta, który, wlokąc się o kulach, zaczął występować jako mówca wiecowy. Tłumy podziwiałły ułomnego mówcę, przemawiającego z fotela na kółkach.

*

Prezydentem Stanów w roku 1924 został Coolidge. Nie mając nic lep-

szego do roboty, Roosevelt zaczął wówczas studjować balneologję. Przeczytał w jakiejś książce o cudownem działaniu źródeł gorących na Kamczatce, źródeł, leczących paraliże.

Właśnie gruchnęła wieść, że w Georgji, opodal miasteczka Warm Springs trysnęło nowe źródło tak gorące, że ręki nie można zanurzyć.

Roosevelt nie namyślał się długo. Choć lekarze mu odradzali, wszedł do samochodu, na drugi samochód ciężarowy załadował domek przenośny i w towarzystwie dwu pielęgniarzy wyjechał do Warm Springs. Woda istotnie była zbyt gorąca. Urządzono więc tuż obok sztuczne jezioro z bieżącą wodą cieplicową. Prócz tego zbudowano z belek, rusztowanie z dźwignią do podnoszenia ciężarów.

Codziennie z rana pielęgniarze zawieszali Roosevelta nad jeziorkiem, oмотawszy go pod pachami pasami flanelowymi. Opuszczali go następnie tak nisko, by woda sięgała mu do pasa.

I SIŁA WOLI

Paralitik starał się poruszać martwymi nogami. Był niecierpliwy, uskarżał się, że woda nie jest dość gorąca. Zwiększono więc jej dopływ.

Trwało to całą jesień i zimę. Roosevelt siadywał w wodzie, a właściwie wisiął, po kilka godzin dziennie. Aż pewnego razu zrzucił bandaż i o własnych siłach postąpił kilka kroków w jeziorku.

Do Nowego Jorku wrócił bez kul, o lasce. Rok jeszcze trwała nauka chodzenia połączona z uzupełniającą kuracją. Po roku Roosevelt był wyleczony.

Odtąd sława miasteczka Warm Springs stała się tak wielka, że wkrótce nad cudownym źródłem powstały hotele i liczne zakłady kąpielowe. Wdzięczny Roosevelt otacza tę miej-

scowość specjalną troskliwością, a coroczną pielgrzymkę do cieplicy uważa za obowiązkową.

OBIETNICE

Wyzdrowiawszy, Roosevelt rzucił się w wir polityki. W roku 1929 został gubernatorem Nowego Jorku, a wreszcie, po stoczeniu malowniczej batalji wyborczej został prezydentem Stanów Zjednoczonych i ogłosił swe słynne plany odbudowy gospodarczej kraju.

Z planami temi wiązano duże nadzieje. Roosevelt obiecywał ujarzmienie Wielkiego Kapitału, likwidację karteli, pomoc dla drobnych i średnich warsztatów. Mówiono nawet, że to już zmierzch mechanizacji, że człowiek odzyska należną mu godność, że olbrzymie fabryki będą stopniowo likwidowane.

Nie sprawdziła się ani jedna z tych zapowiedzi, kryzys trwa nadal, bezrobotnych amerykańców są miliony. Roosevelt, co pewien czas rzuca nowe hasło, bądź nowy „plan“, lecz wróble ćwierkają, że jest to gra na zwłokę. Jakie są prawdziwe plany tego zagadkowego człowieka, nikt właściwie nie wie.

TROCHĘ GENEALOGJI

„World Almanach“ z roku 1937, na stronie 237, podaje: „Franklin D. Roosevelt jest synem James'a Roosevelta, potomka Claesa van Roozevelde, który w roku 1649 przybył do Nowego Amsterdam (U. S. A.) i ożenił się z Jannetje Samuels“.

Czasopismo „The Revealer“ z 15 października 1936 roku podaje kartę genealogiczną opracowaną przez Carnegie Institute of Washington, która uzupełnia informacje almanachu. Wśród przodków prezydenta figuru-

ją kupcy zanotowani pod imionami bądź też nazwiskami: Kunst, Jacobus, Hoffman, Hardenburg i Isaac Rosenfeld, który dał początek linii amerykańskich Rooseveltów.

Co do nazwiska Roosevelt, to b. gubernator Osborn z Michigan udzielił prasie w roku 1934 następujących wyjaśnień: „Przodkowie Roosevelta uciekli w początkach siedemnastego wieku z Hiszpanji do Niemiec i Holandji, gdzie przyjęli nazwisko Rosenfeld w brzmieniu niemieckiem i to samo nazwisko van Roozeveld w brzmieniu holenderskiem. Jacobus van Roozeveld (Roosevelt) pozostał wierny religji żydowskiej“.

„New York Times“ z 14 marca 1935 roku cytuje słowa prezydenta Roosevelta: „W dalekiej przeszłości przodkowie moi byli żydami. Wszystko co wiem o pochodzeniu mej rodziny, to że wywodzi się prawdopodobnie od Claesa M. van Roozeveld, który przybył z Holandji“.

MAYFLOWER

Jak z powyższych dokumentów i oświadczeń wynika, nie należy zaliczać prezydenta Roosevelta do szlachty „Mayflower“.

W roku 1620, a więc na dwadzieścia dziewięć lat przed przybyciem Claesa van Roozeveld do Ameryki, na ziemi amerykańskiej wyładowali wygnańcy z Anglii. Była to szorstka szlachta, która nie chciała uznać liturgji anglikańskiej. Zawinęli na żaglowcu „Mayflower“ (Kwiat Majowy) i osiedlili się w stanach południowych. Ich potomkowie uważają się



Republika i demokracja wloką za sobą nikczemne obyczaje i hańbę, nie budują nic, wszystko niszczą.

(Karol Maurras „Nos Raisons“).

wciąż za szlachtę, a do finansjery nowojorskiej, z której wyszedł Roosevelt, odnoszą się z pogardą.

JEGO PRZYJAŹNIE

Grudniowy (z r. 1937) zeszyt „B'nai Brith Monthly“, oficjalny organ łóży „Bnei Brith“ (stojących, jak się zdaje, u szczytu hierarchji wolnomularstwa), przynosi niezmiernie interesujący wywiad z panią Roosevelt, małżonką prezydenta. Godna uwagi jest nienawiść, z jaką pani Białego Domu, występuje przeciwko „odróżnianiu, wyodrębnianiu i dyskryminacji“ żydów. Stwierdziwszy potem, że źródła tych uczuć są bardzo głębokie, oświadcza, że pomóc na to może tylko demokracja i „wychowanie, wychowanie, wychowanie“.

Z okazji ostatniego święta Purymu prezydent Roosevelt wygłosił mowę do kobiet żydowskich, przyczem rzekł: „Rozbicie zmywy Hamana, który chciał zniszczyć żydów w czasach króla Ahasverusa, jest jednym z kamieni znaczących długą i ciężką drogę do wolności. Rocznicą tą, która nam przypomina, jakim kosztem była zdobyta wolność, powinna nam teraz i zawsze przypominać, że czuwanie jest cechą swobody“.

ZAGADKA

Może te kilka uwag o pochodzeniu prezydenta Roosevelta wyjaśni nam zagadkę, dlaczego ten amerykańczyk tak zapamiętale współpracował (i przypuszczalnie współpracuje) ze światem bankierskim z Wall Street. Decydująca rola, jaką odegrały te banki za pośrednictwem Wilsona w skołatanej przez wojnę Europie, jest już częściowo wyjaśniona. O Rooseveltcie wiemy bardzo mało, a tego co piszą jego przeciwnicy w Ameryce,

nie uważamy za źródła dostatecznie obiektywne. To też poprzestajemy na skąpym materiale, pochodzącym od samego Roosevelta, bądź też od sfer z nim zaprzyjaźnionych, z organem, „B'nai B'rith Monthly“ na czele.

Jeżeli prezydent przyjedzie do Europy, jeżeli zabierze głos w obronie t. zw. demokracji, będziemy mogli wywnioskować, czy jego związki ze światem bankierskim są wciąż jeszcze tak silne.

Z.

Okruchy tygodnia

Warto obserwować stanowisko prasy naszej, po każdym wystąpieniu antymasońskim na terenie Sejmu czy też na łamach któregoś z pism niezależnych. Zdawałoby się, że kto jak kto, ale prasa, ten wyraz opinii publicznej, instrument jawności życia zbiorowego, informator skrzący o najdrobniejszych jego szczegółach, poprze bez zastrzeżeń walkę z tajemnymi mafiemi. Wszakże sama grzmi wciąż patetycznie o niebezpieczeństwie sitw, konspiracji, agentur. Ale niech tylko wystąpi ktoś z konkretnymi informacjami, niech tylko odważny poseł zgłosi interpelację w sprawie masonji, oho, już prasa hucza na niego.

Ośmieszają, dezawuuują, rzucają insynuacje, ostrzegają przed dywersją. Denerwują się, że ta atmosfera podejrzeń staje się nieznośna dla naszego życia publicznego. Boją się panicznie, żeby kogoś nie ukrzywdzić. Radzą stąpać na palcach, wstrzymywać się z ogłaszaniem nazwisk w tej delikatnej materji. A gdy już padnie czyjeś nazwisko, wtedy wołają z emfazą: „Co, ten patryjota, człek nieposzlakowany, i on miałby być masonem?“

Rzekłbyś, że to sami skrupulaci,

wzory ostrożności, okazy czujnych sumień, drżących panicznie na samą myśl o ukrzywdzeniu bliźniego swego. A to przecież grasanty, czerwoniaki i żigolaki prasowe, które — jak ongi Imé Pan Łaszcz — mogłyby sobie płaszczyć podbić kondemnatkami i wyrokami za zniesławienie swych politycznych i osobistych przeciwników.

BOJĄ SIĘ POMYŁEK

Skąd ta troska, by się nie pomylić? Ależ ta wasza codzienna prasa informacyjna roi się od tragikomicznych omyłek. Ja sam pękałem ze śmiechu, gdy czytałem swego czasu sprawozdania prasowe z mojego procesu z Miriamem, któremu zarzuciłem przetrzymywanie i nieogłaszanie drukiem spuścizny rękopiśmiennej po Hoene-Wrońskim i Norwidzie. W sprawozdaniach tych prokurator był jednym z oskarżonych, a współoskarżony Horzelski podany był jako członek zespołu sędziowskiego, ja zostałem (w prasie) skazany przez sąd apelacyjny choć w rzeczywistości byłem uwolniony, a szczytem wszystkiego była informacja jednego z dzienników, że jako świadek w tym procesie zeznawał poeta Norwid. Biedny Norwid, unoszący się w zaświatach od lat kilkudziesięciu, miał przynajmniej okazję do „transcendentalnego śmiechu“ nad głupotą i niechlujstwem owego reportera sądowego.

NIE ZAWSZE MAJĄ SKRUPUŁY

I oto naraz ci blagierzy prasowi, przekręcacze nazwisk i dat, notoryczni pomyłkiewiczze, pielęgnują w sobie trwożne uczucie troski, by nie pobłądził rewelator, wskazujący palcem na tego czy innego masona. Ludzie z humoreski Twaina o „Człowieku co re-

dagował gazetę“, ludzie, którym rzucić inwektywę to tyle co zjeść kromkę chleba z masłem, są dziś okropnie zaleknieni, że a nuż krzywda spotka jakiegoś braciszka, z którego zerwano kaptur, wbrew jego wykrętom i zaprzeczeniom.

Ale gdy człowiek odważny i prawy, unikat pośród tysiąca tchórzów i karjerowiczów, wyruszy w pojedynkę na turniej z Lożą, wtedy nie wahacie się panowie mrugać znacząco oczyma, osaczać go podejrzeniami, robić z niego kryptomasona. To wtedy nie macie już obaw o krzywdę ludzką? Wtedy nie macie już skrupułów? I dopiero wtedy wietrzycie „wilcze doły“? Tak jakby mafja masońska nie zryła już od lat i dziesięcioleci całej rzeczywistości polskiej kretowiskiem swoich podkopów? I jakby nie było naszym psim obowiązkiem i racją stanu dziennikarza polskiego, od lat już ostrzegać naród przed wrogiem prawdziwym i toczyć bezpardonową walkę o jego duszę.

Dzisiaj te niewiniątka prasowe dziwią się, wzruszają ramionami, robią „greków“. Gdyby nie poseł Budzyński, im by nawet biedaczyskom na myśl nie przyszło, że w Polsce jest jakaś masonerja. A tu naraz takie dziwaczne rewelacje, insynuujące, że nawet ludzie poważni, patryjotyczni, na stanowiskach, tkwią w łóżach masonskich. I że tych masonów w Polsce jest tak dużo.

„GRECY“ NAD WISŁĄ

Skąd się wzięły w Polsce masony? A przeczytajcież sobie, wy nadwiślańscy „grecy“, choć parę książek o masonerji we Francji, czy w Niemczech, przeczytajcie Michela, Jean Magues-Riviera, albo Schneidra, przeczytajcie w ostateczności parę wypisów z encyklopedyj, a dowiecie się, że na

zachód od nas masonerja od setek lat przeżarła na wylot „elitę“ społeczeństw, biurokrację, kapitał i związki klasowe, wolne zawody, nauczycielstwo, ciała profesorskie na uniwersytetach. A jeśli tak jest gdzieś indziej, to dlaczego nie miałoby być tak samo w Polsce?

Czy może Polska spadła z księżycy? Albo może została ubezpieczona w jakiś tajemniczy sposób od infiltracji masonskich parazytów? Ta Polska, tak zażydzona, Polska, której szlachta przyjęła do herbów kilka tysięcy frankistów, członków sekty masonsko - żydowskiej, Polska, która za czasów króla Stasia miała w samej Warszawie do 2.000 braci w fartuszkach. Gdzież się podziały te masony? Pod ziemię się zapadły? A tradycja rodowa to nic? To nie wiecie, że masoni idą familjami, wtajemniczają się w rodzinach, zbliżają się przez koligacje i związki krwi?

O RYCERZACH „OKRĄGLEGO STOŁU“

Zabawne są argumenty, którymi szermują niektóre pisma, pragnące pomniejszyć i ośmieszyć akcję antymasonską. Taki np. IKC krakowski, w artykule wstępnym „O masonerji i masonach w Polsce“ pozwala sobie pisać o R. M. Morawskim, autorze poważnych dzieł o wolnomularstwie, jako o nieszkodliwym fantaście i szydzi z jego „rewelacji“ o zbieraniu się krakowskich masonów prasowych w kawiarni Grand Hotelu przy „okrągłym stole“. Bo przecież wiadomo — pisze IKC — że przy tym stole siadawali redaktorzy wszystkich pism krakowskich, nawet prawicowych i katolickich.

Doprawdy, kto jak kto, ale to chyba nasi nadwiślańscy grecy spadli z księżycy. Ci nieszczęśliwcy „idą“ nam

dowodzić, dziś, w Roku Pańskim 1938, że redaktor pisma prawicowego, a już zwłaszcza katolickiego, jest już sam przez się tarczą ochronną przeciwko masonerii. Opowiadają nam takie historyjki na ucho dziś, w dobie Frontu Morges, w dobie Mauriaca i Maritain'e'a. (Nawiasem mówiąc, jakież to są w Krakowie, pisma prawicowe i katolickie? Wszak niema w Krakowie ani jednej gazety prawicowej, a z katolickich chyba tylko „Głos Narodu“, organ reprezentujący, wraz z „Polonią“ Korfantego, ideały polityczne Frontu Morges!)

ICH METODY

IKC pisze w rzeczonym artykule, że taki oto rewelator jak K. M. Morawski, „stał na czele Agencji Antymasońskiej“. IKC chce przez to zdyskredytować zgóry w oczach czytelników Agencję Antymasońską i jej walor informacyjny, tak jak przedtem zdyskredytować usiłował p. Morawskiego w ustępie o „okrągłym stole“. Przemilczał przytem, że p. Morawski ogłosił w dziennikach wyjaśnienie — w dniach Zjazdu Antymasońskiego Prasy Polskiej — że do kierownictwa agencji nie należy. Tak wyglądają ich metody. Gdy p. Morawski ogłosił swe oświadczenie, prasa nieprzychylna imprezom antymasońskim trąbiła tryumfalnie, że „wybitny uczony“ „wycofuje się“ i t. p. Lecz gdy to jest potrzebne, pisze się znowu, że p. Morawski to żaden uczony i że „taki człowiek“ stoi na czele Agencji Antymasońskiej. Oj, grecy, grecy!

KAPRYSY LEWIATANA

Lewiatan jest zdekonfiturowany, podrażniony, zaniepokojony, p. Niekanda Trepka zaczyna się denerwować. „Kurjer Polski“ z 22 lipca b. m.

pisze na czołowym miejscu numeru: „Nowy atak łoży niemasońskiej. Trzy interpelacje poselskie wniesione w jednym dniu“. Wiadomość o interpelacjach poselskich w sprawie masonerii, zgłoszonych na jednym z ostatnich posiedzeń sesji nadzwyczajnej, przyrządza się tam w takim sosie:

„...Atak poprowadził poseł Wacław Budzyński... *jeden z głównych organizatorów łoży niemasońskiej, względnie antymasońskiej*. Łoża ta urządziła przed kilku tygodniami specjalny zjazd i wiec antymasoński w Warszawie, i ona to właśnie *kieruje antymasońską ofensywą*, od której tak głośno jest w Polsce...“

„Interpelacje masońskie przyjęto naogół z weselem. W kuluarach mówiono o „drobnych strzałach antymasońskich“, oddanych przez patrol.

„Łoża niemasońska *wytoczy zapewne ciężkie haubice antymasońskie dopiero w zimie*.

„Na lato łoża nie chce zanadto straszyć...“

PRUSKI DRILL — ROSYJSKIE CZYNOWNICTWO — AUSTRIACKIE GADANIE

Jak widzimy, „grecy“ nadwiślańscy nie są tacy głupi jakby się здаwało. Nie wiedzą oni nic o niebezpieczeństwie masońskim ale orjentują się doskonale w chwytach, jakich należy używać, aby dezawuować i ośmieszać wszelką akcję przeciwko masonerii. Wrogów łoży nazwać beztrósko „łożą niemasońską“, interpelacje poselskie traktować „na wesoło“, to sposób na zmylenie opinii publicznej i pomniejszenie powagi zagadnienia, od którego rozwiązania zależy „być nie być“ jutrzejszej Polski.

Kuchciki lewiatańskie w podkaszanych fartuszkach nie zrozumiały widać dotychczas, że Polska nie bę-

dzie suwerenną potęgą, własnością niepodzielną narodu polskiego, dopóki nie zeszkrobie z siebie masonskiego pokostu i nie wyzwoli się z sieci agencur. Bawi ich i śmieszy męka i ból nowej Polski, która wśród zamętu sprzecznych haseł odnaleźć chce swój sens dziejowy, rozpoznać samą siebie.

Dzisiejsza Polska to poczwarka, z której skorupy nie wyfrunął jeszcze na światło dzienne tęczy motyl. Dzisiejsza Polska jest wciąż zlepkiem cech sztucznych, narzuconych jej przez trzy państwa zaborcze. Dzisiejsza Polska to mieszanina pruskiego drillu i rosyjskiego czynownictwa z austriackim gadaniem, którego najpełniejszym wyrazem jest bombastyczna frazeologia mocarstwowa. Łoże utrzymują Polskę w tym letargu i bezpłodności duchowej. Ale to się wnet skończy, choćby wszyscy nadwiślańscy „grecy” sprzysięgli się, by ten sromotny stan przedłużyć.

Br.

*

W BYDGOSZCZY

„ABC” ogłasza od pewnego czasu listy Rotarzystów. Ciekawe rzeczy. Naprzykład, taka Bydgoszcz. Z kogoż składa się prezydjum Rotary-Clubu w Bydgoszczy? Z pp. Esden-Tempskiego, p. Sioda, p. Cyłkowskiego i dr. Wieckiego.

Dziwnie znajome nazwiska. Zaraz, zaraz...? Co to nam te nazwiska przypominają? Już gdzieś czytaliśmy razem te nazwiska! Ach, prawda! Toż to właśnie zarząd miejscowego koła OZN! Przecież to prezydjum bydgoskiego OZN stanowią pp.: Esden-Tempski, Sioda, Cyłkowski i dr. Wiecki.

Konsolidacja. Oczywiście, konsolidacja, bo p. Esden-Tempski deklaru-

je się przecież, jako „narodowiec”, a p. Sioda jest znanym „sanatorem”. więc rzeczywiście konsolidacja.

Na wierzchu konsolidacja, a pod spodem Rotary Club.

CUDOWNE LEKARSTWO

Nigdy nie zapomnę kapitalnego stanowiska „Gazety Polskiej” w dyskusji nad artykułem b. premjera Kozłowskiego. „Gazeta Polska” wyprosiła sobie pomocników w walce z masonją, bo ma sama najlepsze lekarstwo na masonów. Lekarzem tym jest OZN.

Cudowne lekarstwo, ani słowa. Na recepcie OZN, a w buteleczce Rotary. Przypuszczalnie jest to lekarstwo z gatunku surowic, które się stosuje przez szczepienie. Owszem, to niezły system. I naukowy. Walka z masonją systemem szczepionek.

J. B.

Przegląd prasy

W rubryce tej zamieszczamy, o ile możliwości bez komentarzy, przedruki i tłumaczenia z pism różnych kierunków, często całkowicie sprzecznych ze stanowiskiem MERKURYUSZA.

(Red.).

FALANGA

Warszawa, 26 lipca

Czas i nam wreszcie zabrać głos w ciekawej dyskusji na temat masonerii, jaka się od pewnego czasu toczy na łamach całej polskiej prasy. Pozornie wywołał ją artykuł pod tytułem: „Parę uwag o masonerii w Polsce”, zamieszczony 10 lipca w „Polityce”, przypisywany byłemu premierowi, prof. Leonowi Kozłowskiemu. Jednakże jest to dalszy ciąg dyskusji rozpoczętej o wiele wcześniej z okazji zgłoszenia przez posła Budzyńskiego projektu ustawy antymasonskiej. Wówczas

jednak, acz w całej prasie były o tym wzmianki i artykuły, dyskusja utrzymana była w tonie bardzo oględnym, przemilczano inne nazwiska poza osobami wymienionymi przez posła Budzyńskiego w Sejmie. Rychło sprawa ucichła i dopiero publiczny wiec antymasoński, poprzedzony zjazdem antymasońskiej prasy, nadal sprawie właściwy rozgłos.

Okazało się wówczas, że zagadnienia masonerii nie da się przemilczeć, że interesują się nim nie jednostki, czy małe grupki, ale szeroki ogół narodowy, że masonerię można atakować, nie obawiając się o swe życie i zdrowie. Najlepszym dowodem tego, było ogłoszenie przez nas listy członków warszawskiego Rotary-Clubu, na co nikt przed tym nie miał odwagi. Od tego czasu dyskusja masońska na łamach prasy nie milknie — przeciwnie, z tygodnia na tydzień staje się co raz żywsza, artykuł w „Polityce” podpisany L. K. był jednym tylko z wielu innych.

*

Prasa opozycyjna domaga się ujawnienia przede wszystkim list członków łóż „angielskich”. Prasa prorządowa chce ujawnić bez reszty kulisy masonerii „francuskiej”. Ani jedna ani druga nie chce zacząć robienia porządków od własnego podwórka. Co gorzej, artykuły przeważnie są niepodpisane, co wygląda wprost nieprzyzwoicie.

Odwagi, panowie!

(Z artykułu K. Hałaburdy „Nie wstydić się!”).

PROSTO Z MOSTU

TYGODNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY

Warszawa, 24 lipca

Powstał w prasie niebywały mętlik; zaczęto sobie dworować z p. Kozłowskiego na funty; ton poddał „Robotnik” (nr. 191) określając piórem p. Archiwisty całą historię jako opowieść o wężu morskim, co zresztą nie przeszkodziło naza jutrz temuż samemu p. Archiwistcie (w nrze 192) wystąpić z obroną notorycznego masona Zygmunta Dworząńczyka, mianowanego świeżo dyrektorem departamentu w Ministerstwie Opieki Społecznej, a zaatakowanego w interpelacji pos. Budzyńskiego. Tak to wąż morski wynurza się czasem z fal nawet w ministerstwach.

*

Stawiamy sprawę jasno i bez bawienia się w ciuciubabkę. Artykuł p. Leona Kozłowskiego w „Polityce” nie mógł być chyba dla kół politycznych niespodzianką. Niespodzianką mogło być raczej, że w artykule tym powiedziano tak mało, że ukazał się on pod inicjałami, a nie pod nazwiskiem, co oczywiście nie jest żadną anonimowością, ale oznaką nie przywiązywania przez autora większej wagi do tego wystąpienia, potraktowania sprawy mimochodem raczej, niż frontalnie. Otóż pierwszego publicznego wystąpienia w sprawie tak ważnej i poważnej nie wolno traktować tak lekko. To był błąd, który się teraz na autorze mści.

W warszawskich sferach politycznych wiedzano już od szeregu miesięcy, że p. Kozłowski w kołach antymasońskich dziełi się otwarcie i z dużą odwagą cywilną swoimi wiadomościami o masonerii, zapowiadając publiczną akcję.

*

Mówi się, że p. Leon Kozłowski atakując masonerię również nie ukrywa, że sam był wolnomularzem, że wciągnięto go do masonerii poprzez tajne organizacje niepodległościowe, że doszedł w obrządku szkockim do wysokiego, bodaj ośmiennastego stopnia, że w pewnym okresie doszedł do przekonania o szkodliwości masonerii (w której w latach niewoli widział pomoc w walkach o niepodległość), że w ostatnich latach z masonerii wystąpił i postanowił wytoczyć jej walkę. Nie wiem, o ile te wiadomości odpowiadają prawdzie. Ale jeśli są prawdziwe, to publiczne swoje wystąpienie w sprawie masonerii powinien p. Kozłowski zacząć od takiej właśnie jasnej i niedwuznacznej deklaracji. Bynajmniej by go to nie osłabiło, ale przeciwnie wzmocniło. Takie spalenie mostów za sobą jest konieczne.

(Wyjątki z artykułu p. St. Piaseckiego „Pod znakiem trójkąta”).

Pourquoi Pas ?

Bruksela, 1 lipca

Żydzi niemieccy oraz ofiary prześladowań austriackich przyjeżdżają do nas partjami; prócz tego z Rumunji i Polski napływają spore kontyngenty nędzarzy, zwabionych rozgłosem naszej ziemi, któ-

ra w ich pojęciu uchodzi za ziemię obiecaną.

Są wśród nich tacy, którzy, niczem się nie zrażając, żądają bezustannie pomocy. I tych gotowiśmy uznać za najmniej uciążliwych. Wprawdzie wolelibyśmy ich się pozbyć, ale organizacje sjonistyczne nie mogą skłonić przybyszów do założenia się na okręt płynący do Tel - Awihu, zupełnie zresztą bezpłatnie, ani do Argentyny, gdzie powstaje kolonia żydowska.

Druga odmiana żydów — jest to wrzód na naszym przemyśle konfekcyjnym, zwłaszcza w branży galanterji skórzaney. Zagarnęli ten dział liczni żydzi, którzy, po osiedleniu się u nas, pozakładali wytwórnie.

Praca odbywa się w istnych norach, na poddaszach, a w zależności od pory dnia, lokal przekształca się w warsztat, w jadalnię lub w sypialnię, gdzie pokotem leżą przybysze nie władający językiem francuskim, kierowani przez kilku współwyznawców. Niema tam mowy o przestrzeganiu jakichkolwiek ustaw dotyczących pracy. Wynagrodzenie jest głodowe, a robota trwa dwanaście, często i szesnaście godzin. W ten sposób fabrykant może rzucać na rynek towar pseudo - luksusowy za cenę nie podlegającą żadnej konkurencji. Towar ten jest dostarczany do sklepów, bądź też rozsprzedawany przez domokrażców, bądź też bywają urządzane „okazyjne wyprzedaże” w nędznych sklepikach, w przedsiionkach, w różnych budach.

(Wyjątek z artykułu „Antisémitisme israelite”).

LA STAMPA

Turyn, 12 lipca

Sądziecie, że sprawa byłaby ciągle tak poważna, w tyłu krajach europejskich, gdyby żydzi wykonywali zawody rolnicze lub rzemieślnicze w stosunku mniej więcej proporcjonalnym do procentu ludności żydowskiej? Kiedy się mówi o 300 tysiącach żydów w dawnej Austrii, jest to mniejszość dość liczna, ale nie niepokojąca. Byłoby tak istotnie, gdyby dziewięć dziesiątych tej ludności pracowało na roli i w fabrykach. Tymczasem jest zupełnie inaczej: trzysta tysięcy żydów austriackich ciąży prawie wyłącznie na miastach, zajmując ważniejsze placówki han-

dlowe i finansowe, panosząc się w wielu zawodach, szczególnie np. w zawodzie lekarskim. Przykład ten da się zastosować, z małemi nieistotnemi różnicami, do wszystkich państw, w których mieszka wielka liczba żydów.

*

Dlatego też reakcje narodowe były tak gwałtowne, stąd też pochodzi trudność rozwiązania sprawy. Na konferencji w Ewian wszyscy delegaci gubią się we frazesach, ale kiedy dochodzi się do praktycznej rzeczywistości i trzeba dać przytułek żydom, przedstawiciele nawet najbardziej nie zamieszkałych krajów bronią się tym twierdzeniem: „Potrzeba nam rolników i kolonistów”.

Inwazja kupców, lekarzy, adwokatów nie jest nikomu miła, nawet prezydentowi Roosveltowi, który był inicjatorem konferencji nad Lemanem, ale nie otwiera bramy Gwiazdzystej Republiki ukochanym ofiarom nienawiści rasowej.

(Artykuł redakcyjny p.t. „Problem żydowski i jego strona społeczna”).

SPRAWY OTWARTE

DWUTYGODNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

WILNO
20
GR.

Wilno, 16—31 lipca

Bernanos bardzo ostro wystąpił przeciw zbiorowemu orędziu biskupów hiszpańskich, którzy wszyscy otwarcie stanęli po stronie narodowej Hiszpanji.

Poznańska „Kultura”, omawiając książkę Bernanosa, stwierdza, że krytyka episkopatu hiszpańskiego ma „niejednokrotnie charakter inwektywny: razy sypią się tutaj na ślepo”, a jednak dodaje: „Prawdy niema co zatajać... Książka ta stanowi protest wierzącego katolika..., którego prawdomówności trudno zaprzeczać”. Dalej „Kultura” zachęca: „Nim prasa lewicowa wywlecze w odpowiednio spreparowanym oświeceniu ten obraz, jaki dał Bernanos, obraz nazwany już przez krytykę „koszmarem na Majorce”, — trzeba co rychlej zająć się tą sprawą z naszej strony.

Prasa lewicowa już wywlekła tę sprawę i z satysfakcją omawia publikację francuskiego pisarza.

Sprawa niezmiernie przykra.

*

Dlaczego „Kultura“ tak odrazu uwierzyła w prawdomówność Bernanosa?

W recenzji „Kultury“ przykro uderza zestawienie autorytetu jednego pisarza („Prawdy niema co zatajać“ i t. d.), z autorytem biskupów hiszpańskich.

Nie można zrozumieć bladego strachu redakcji katolickiego pisma, które chce ubiec lewicę w krytyce bohaterskiej narodowej Hiszpanji.

Sądzę, że działa tutaj psychoza „liberalizmu katolickiego“ względem oponentów. Liberalizm — broń słaba, którą nikogo jeszcze się nie nawróciło! I pocco?

(Wyjątek z artykułu wstępnego. Napisał ks. Bolesław Gramz).



Wejherowo, 15 lipca

W Wejherowie baro znônô beła „długu“ postać Thiela, tego niemieckiego „hauptmachera“, chteren przez swoją nielojalność muszôł ten teren opuścić. Tutéjszy Niemcowie stracele swojego „Gauleitera“ i z tego powodu sãm baro przegnębiony. Jednak sãm Thiel na grênce baro letko oddychnął z ty radość, że nalêże so wnet w swoim „vaterlandze“. Jemu żeczmy wesołe jazde — a jego wejherowskim „weznawcą“ chutkiego wejchani za nim.

Do jednych z wejherowskich plag noleży „Danziger Neusten Nachrichten“. „Plagę“ tę trzeba jak nochutci usunąć z tego terenu, bo zaczynô sôdac co rôz bardzi na polskich „stołach“. Choc to je takô baro niesmacznô i trejaco „potrawa“, to jednym heńdlarzã mąki jednak spaccalnie szmakô.

„Plagę“ tę w Wejherowie rozôszo panio Kunathka, chterna mieszkô przy ulicy Pucki u pana Schoenenbergera.

(Z rubryki redakcyjnej „Kaszebski radeljon pleszcze“. Miłośnikom regjonalizmu komunikujemy, że doskonałe redagowany dwutygodnik „Kleka“ przynosi w każdym numerze prozę i wiersze kaszubskie. Adres redakcji: Wejherowo, ul. Wałowa 26).

KRAKOWSKI

KURIER WIECZORNY

Kraków, 13 lipca

Endo - komuna! Termin dawno ukuty.

O, wiemy, że to was panowie „Ordynaryjni“ boli, że wam spokoju nie daje!

I, dlatego w swoich „okrucach tygodniowych“ ubolewacie nad tym że księdza Pudra „dano acurate wychowankom ks. prałata Trzeciaka“...

Teraz już rozumiecie, jaki był cel tej „dyslokacji“, teraz jest wszystko dla nas jasne...

Chciano wam dać widocznie powód do zmartwienia, do wylewania łez krokodylowych nad faktem pozbawienia księdza prałata Trzeciaka „owieczek“ w stylu Michalskiego.

„Wyjcie“, nadal na swych szpaltach obejmujących więcej niż „sześć szpalt“.

Świat się z tego jakoś nie zawałił.

(Próbka niezrozumiałego bełkotu polsko żydowskiego, w jakim jest redagowany naczelny organ krajowych demokratów).

Czytelnicy robią gazetę

W rubryce tej zamieszczamy listy Czytelników, bez względu na szczegół, czy MERKURYUSZ jest tego samego zdania.

Jedyny warunek by poruszony temat był godny uwagi.

W razie braku miejsca, lub z przyczyn od redakcji niezależnych, może zająć konieczność poczynienia skrótów i streszczeń. MERKURYUSZ prosi Czytelników, aby raczyli uwzględnić ewentualne zmiany.

Teksty redakcyjne podajemy drukiem grubszym, cytaty zaś z listów oddzielamy gwiazdkami.

Red.

ODPOWIEDŹ „LAIKOWI“

Mój ostatni list w sprawie dobra i zła traktowałem, raczej, jako pewnego rodzaju żart. Z chwilą jednak, kiedy zostałem „oficjalnie“ wciągnięty do dyskusji chciałem powiedzieć parę słów poważnie, a szczególnie w odpowiedzi p. „Laikowi“.

Przedewszystkiem przykład z profeso-rem i termometrem został wybrany nie-szczęśliwie. Co innego jest bowiem cie-

pło, a cò innego temperatura. W potocznej mowie używa się còprawda: „jest 10° ciepła“, ale to właściwie nie ma sensu: ściśle należy mówić: „temperatura wynosi +10°“ i to zaraz trzeba dodać jakich stopni: Celsiusza, Fahrenheita czy t. p.

Temperatura nie jest więc samym ciepłem, a pewną tylko skalą, dowolnie zupełnie stworzoną. To tak jak etyka. Jest ona pewną skalą oceny Dobra i jest inna dla chrześcijanina, inna dla mahometanina czy t. p. Nikt nie powie, że etyka, to samo Dobro. I dlatego t. zw. zero absolutne (— 273° C.) jest również tylko pewnym punktem granicznym, a mianowicie punktem zaniknięcia ruchu o długościach fal, zwanych przez nas ciepłymi. Natomiast nie mamy żadnych ograniczeń (pojęciowych oczywiście) w pòsuwaniu się „w dół“ od zera absolutnego, do temperatur wynoszących choćby tysiące stopni. Wtedy, jednak o ciepłe nie będzie już mowy. Wystąpi jedyne zimno (chłód). Czym ono jest fizycznie, nie wiemy, gdyż do tak niskich temperatur nie doszliśmy, jednak myśląc oderwanie, musimy pogodzić się z istnieniem chłodu podmiotowego. I tak jak pojęciowo nie ma granicy wysokich temperatur dla ciepła, tak też nie ma jej dla niskich temperatur — chłodu.

Dłaczego więc przypuszczenie o nieskończoności zła ma być herezja? Skoro granica Dobra i Zła jest rzeczą dowolną, zależną li tylko od etyki, nie mamy żadnych podstaw do nieskończonego pòsuwania się w kierunku dobra, a zatrzymywania się w jakimś punkcie na drodze w kierunku Zła. I tak właśnie, jak zero absolutne jest, bez względu na skalę temperatur, punktem w którym przestaje istnieć ciepło, tak samo istnieje (nieznany nam bliżej) punkt, w którym przestaje istnieć Dobro, jako takie, niezależnie od tej, czy innej etyki. „Poniżej“ tego punktu jest właśnie Zło.

Wszystkie nieporozumienia na tym tle powstają właśnie stąd, że nie wiemy gdzie jest ten punkt, to zero absolutne, i dlatego każda etyka stwarza sobie własną granicę Zła i Dobra, własne zero.

I tylko przyjmując taki obraz tego zagadnienia, nie staje się bezradnie wobec pytania: „dlaczego Zło ma być brakiem Dobra, a nie Dobro brakiem Zła?“ Przy myśleniu oderwanym, ma się rozumieć.

W. Krz-wski (Jastarnia).

I DRUGA ODPOWIEDŹ.

Po przeczytaniu w ostatnim numerze „Merkuryusza“ artykułu p. „Laika“ doszedłem do wniosku, że pseudonim ten świadczy o wielkim krytycyzmie i szczerości autora listu. P. „Laik“ pisze między innymi:

„Wiadomo, że nasilenie Dobra idzie w nieskończoność, a gdzież dadzą się zakreślić granice pozytywnego Zła?“ — Otóż właśnie chodzi o to że nie wiadomo! Dla myślących ludzi odwzorami Dobra i Zła są przecież Chrystus i Szatan. Postacie te uosabiają dwa te pojęcia w ich sensie absolutnym. Nie wiem czy da się pomyśleć czyn, który postawiłby człowieka na wyższym szczeblu — Dobra od tego jaki zajmuje Jezus. Słowa: „nasilenie Dobra idzie w nieskończoność“, wyrażają tę możliwość i przez to samo dają świadectwo swej pustocie. Tak samo przedstawia się sprawa Zła.

W całej nauce Chrystusa tchnie właśnie owo bezkompromisowe rozdzielenie Zła od Dobra. Relatywizm p. Mosdorfa i p. „Laika“ dąży wyraźnie do utożsamienia tych dwu pojęć. Weźmy np. konkretny wypadek: Ulicznik ukradnie pomarańczę, możemy czyn ten zakwalifikować jako „trochę“ zły. Według tezy p. „Laika“ nie możemy uznać tej kradzieży za całkowity brak dobra bowiem wówczas była by ona np. równa morderstwu. Całkowity brak dobra musi ponoć przedstawiać najgorsze Zło. Kradzież pomarańczy tylko częściowy ubytek dobra. Wreszcie możemy zawyrókwować: — „kradzież tak małego przedmiotu jak pomarańcza jest „trochę“ dobra. Oj Laiiki!! — nie uczono was logiki!!!

Uznanie Dobra i Zła za dwie wrogie sobie potencje, dwa kontrasty może być jedynym rozwiązaniem zagadnienia. Każdy czyn da się wtedy odpowiednio zakwestionować, rozwiązanie to będzie najlepiej odpowiadać wymaganiom naszej duszy, i nie będzie prowadzić do absurdalnych konkluzji.

Fizyka to bardzo piękna nauka i mam zaszczyt trochę się nią zajmować jednak nie zawsze da się do wszystkiego stosować jej prawa (np.: robienie paraleli pomiędzy skalą temperatur a Dobrem i Złem!).

Alexander Lempicki
(Warszówka).

WEZWANIE DO WALKI.

Na marginesie „białej gorączki“ panującej obecnie jak Polska długa i szeroka, gdzie tylko wyrósł kawałek płotu lub innego ogrodzenia, chciałbym przypomnieć o sprawie znacznie ważniejszej, a zupełnie zapomnianej.

Istnieje obowiązująca ustawa czy rozporządzenie o tępieniu szkodliwych dla rolnictwa chwastów, w pierwszym rzędzie ostów, dalej berberysu (ex rdzy zbożowej) i innych. Nie wiem jak jest gdzieś indziej, ale w południowej Lubelszczyźnie przy wszelkich drogach polnych rozwinęła się, nie tępiona nigdy dotychczas, wegetacja ostów. Szkody które ponosi z tego powodu rolnictwo, nie są do ujęcia w dane cyfrowe, ale są nieprawdopodobnie duże. Pole opanowane ostem daje minimalny plon — poszczególni rolnicy są bezsilni wobec łatwości przenoszenia się nasion z wiatrem na znaczne odległości. Konieczna akcja paroletnia, masowa, dopilnowana. Podstawa prawna jest.

Druga sprawa: Produkuje się w okręgu lubelskim jeden z najlepszych gatunkowo chmielów świata (obok okręgu Żateckiego w Czechach i bawarskiego w Niemczech). Produkcja polska chmielu wynosi około 50.000 ctn. — 60.000 ctn. Z tego eksportujemy ca 80 — 90%. Pozycja w bilansie handlowym poważna. Jednym z najtrudniejszych czynników dobrej produkcji to walka ze szkodnikami chmielu (peronospora, mszyca, pchełka, pajęczek). Walka doprowadzona u naszych sąsiadów-konkurentów do najwyższego poziomu. Lubelskie Tow. Chmielarskie sprowadziło przed kilku tygodniami kilkanaście opryskiwaczy motorowych najnowszego typu z Niemiec (Polska nie wyrabia). Konieczna ustawa o niszczeniu dzikiego chmielu, który jest rozsądnikiem szkodników i przekreśla efekt walki na chmielnikach chronionych przed niemi. Zwróciliśmy się z tym projektem dawno do Min. Rolnictwa. To są rzeczy ważne i pilne, dużo pilniejsze od popaćkania na biało (dla czego koniecznie na biało?) wszystkich płotków we Psiej Wólce. ślicznie to wygląda po paru deszczach. Podobno w niektórych wsiach co gorliwsze władze każały żywopłoty bielić. Si non e vero...

Witold Mogilnicki
(Bzowiec).

Czytelnicy zapytują

Inż. Roman Brelewski, (W-wa) zapytuje: W Petersburgu w r. 1918 była wydana broszura inż. ś. p. Franciszka Giertycha p. t. „O możliwościach, zadaniach i organizacji drobnego przemysłu w Polsce“. Czy ktokolwiek z Czytelników nie mógłby wskazać mi osobę, która byłaby w posiadaniu tej bardzo ciekawej i dziś jeszcze broszury. (Nie ma jej nawet syn ś. p. Giertycha, redaktor Jędrzej Giertych, do którego zwracałem się w tej sprawie). Zawierała ona bowiem wyszczególnienie ok. 400 pozycji drobnego przemysłu, które należałoby spolszczyć.

*

JWPani Marja R. (W-wa) — pisze: Kto zrobi ze mną zamianę? Poszukuję encyklopedji Gutenberga. Wzamian dam komplet pism Romana Dmowskiego (wyd. A. Gmachowski, 1937 — 1938), w pięknej oprawie płóciennej ze złoceniami, komplet zupełnie nowy. Już raz korzystałam z uprzejmości Merkuryusza i wówczas jeden z Czytelników zaproponował mi encyklopedję Trzaski, którą mam. Chciałabym też wiedzieć, czy jest w handlu księgarskim Numizmatyka Polska Gumowskiego i jaką przedstawia wartość. Zgóry dziękuję za odpowiedź.

Czytelnicy odpowiadają

JWPanu J. R-skiemu (Tarnowskie Góry) — Na zapytanie ogłoszone w zeszytach 34 Merkuryusza śpieszymy z odpowiedzią, że mamy na składzie pamiętnik Wojciecha Kossaka, egzemplarz oprawiony. Cena 35 zł. i porto za zaliczeniem pocztowym. Łączymy wyrazy poważania

Gebethner i Wolff, Oddział w Poznaniu.

Odpowiedzi redakcji

JWPan Al. Ł-cki (Warszawa) — Jesteśmy doprawdy w kłopotcie. Nadesłany artykuł polemiczny zawiera dużo słusznych uwag, ale czy nie jest zbyt ostry? Autorka napewno pisała z dobrą wiarą i nie spodziewała się krytyki tak surowej. Drugi artykuł na temat „Dobro i Zło“ będzie cennym uzupełnieniem toczącej się dyskusji. Dziękujemy za życzliwą ocenę „Demokracji oświeconej“ i prosimy przyjąć wyrazy głębokiego szacunku.

JWPan Antoni St. — Artykuł o pogaństwie w III Rzeszy wręczmy kol. Jerzemu Br., który wkrótce ma być w Warszawie. Ukłony i pozdrowienia.

Wydawnictwo Chr. Pol. (W-wa) — Od kilku tygodni śledzimy z zainteresowaniem rozwój pisma Szanownych Panów. Przypominają nam się pierwsze lata MERKURYUSZA. To też miło nam było przeczytać list, za który serdecznie dziękujemy. Wycinek będzie wyzyskany. Życzymy powodzenia. Tylko nie zrażać się, naprzód, wytrwale.

JWPan J. P. (W-wa) — Wypadki takie trzeba piętnować, słusznie. List zamieścimy.

JWPan Dr. Piotr K. (Lwów) — Przyznajemy całkowicie słuszność Szanownemu Panu Doktorowi. Na nasze usprawiedliwienie możemy tylko rzec, że artykuł był składany na linotypie, a w komplecie matryc niema czcionek z daszkami. Zamówienie w fabryce pociągnęłoby za sobą duże koszty i opóźniło ukazanie się artykułu. Nam zaś zależało na tem, aby zeszyt wyszedł przed wyjazdem p. Beneszića z Polski, który w tych dniach opuścił nasz kraj.

JWPan Mieczysław Z. (Karwia) — Czy pozwoli Szanowny Pan na skrócenie artykułu? Cierpimy na brak miejsca.

JWPan Antoni Mi-wski (Mierzyce) — Winszujemy znalezienia książki. My też, coś niecoś szperamy w tym przedmiocie, ale czasu mało. Życzymy dobrych żniw!

JWPani Eustachja B-ska (Bydgoszcz) — Serdecznie dziękujemy za cenne wycinki.

JWPani Rupert J-wski (Kurzeniec) — Przeprowadzenie analogji między stosunkami naszymi, a francuskimi jest w tej dziedzinie niemożliwe. Przynajmniej na razie. Musimy walczyć, aby takiej analogji nie było.

JWPan Witold Sm. (Lublin) — Dziękujemy. Opowieść o przygodach naszego rodaka w konsulacie polskim jest godna uwagi. Ogłosimy.

Księgarnia Gebethner i Wolff (Poznań) — List zamieścimy. Pozdrowienia.

JWPan Karol P-icz (Łódź) — W muzeum archeologicznem w Warszawie (Łazienki).

JWPani Michalina Z. (Toruń) — Wyszły dotychczas cztery tomy. Redakcja w Kasie Mianowskiego. Warszawa, Nowy Świat 72.

JWPan Zbigniew Cz. (Skarżysko) — Pamiętniki marszałka Focha przełożył na język polski mjr. Otton Laskowski. Do nabycia w księgarniach.

JWPani Cecylja L. (Kraków) — Ten temat pozostawiamy do opracowania dzieciogroszówkom.

JWPan Karol Kr-ski (Capri) — Dziękujemy za pamięć. Zeszyty wysłane.

JWPan Adam M. (Zgierz) — Nie nadaje się do druku.

JWPan J. K-icz (Tarnopol) — Owszem, wyszła w przekładzie polskim, wydał „Rój“.

JWPan Marjan N-k (Chojnice) — Będziemy wdzięczni za nadesłanie nam wczeka, albo wskazanie daty. Pismo to przychodzi do nas jako wymienne.

JWPani R. St-ska (W-wa) — Cieszą słowa uznania za artykuł o „Demokracji oświeconej“. Wszystkie cytaty są autentyczne, podajemy wszak nazwy pism i daty.

JWPan Wacław F-wski (Kosów) — Dziękujemy za życzenia. Co słychać?

JWPan J. C. (W-wa) — Poczta zwróciła zeszyt okazowy. Prosimy o telefoniczne podanie dokładnego adresu.

Wielebny Ks. Czesław K. — Odpisujemy listownie.

JWPani H. H-cka (Ruszków) — Będziemy bardzo wdzięczni za dostarczanie artykułu. Dziękujemy Szanownej Pani za pamięć.

JWPan Jan T. (Wróblewo) — Dziękujemy za zwrócenie nam uwagi na niedociągnięcia. Co do wypadku, o którym Szanowny Pan wspomina, to było w gazetach zaprzeczenie. Łączymy pozdrowienia.

JWPan Prof. Wincenty L. (Kraków) — Nadesłany odpis listu Fr. M. wydrukujemy w jednym z najbliższych zeszytów.

JWPan Inż. Roman B. (W-wa) — List drukujemy w dziale „Czytelnicy zapytują“.

Zjedn. Inżynierów — Komunikat zamieścimy w przyszłym tygodniu.

Wielebny Ks. St. L. — Serdecznie dziękujemy za treściwe uwagi. Wykorzystamy je wkrótce.

JWPan Jan P-wski (Gdynia) — Bardzo słusznie. Nie zauważyliśmy tej notatki w prasie. Wyzyskamy w Okruchach Tygodnia.

JWPan Eugenjusz B. (Łódź) — Za miły list i słowa uznania serdecznie dziękujemy. Poruszoną sprawą zajmiemy się wkrótce.

Cudzoziemcowi (W-wa) — Prosimy o podanie nazwiska i adresu, dla naszej wiadomości. Listów anonimowych nie drukujemy.

Czytelnikowi z Pomorza — Odpowiedź Poznaniakowi zamieścimy przypuszczalnie w następnym zeszycie. Dziękujemy za podanie numeru telefonu.

Frafzki

W SERCU SAHARY

Naczelny organ krajowych demokratów, wydawany w Krakowie „Kurjer Wieczorny“ (19.VII) przynosi ciekawy artykuł o życiu na pustyni:

Mieszkańcy pustyni, odbywając długie podróże karawanowe, zaopatrują się obfi-

cie w cygara, nie wiedzą nigdy, co im się może wydarzyć na pustyni, zawsze pełnej różnych niespodzianek...

Karawana ma za sobą setki kilometrów, w tem wielbłądy stają i żadna siła nie jest w stanie ich ruszyć z miejsca. Poganiacze wówczas przymocowują im do pysków trójkątne deseczki, w których jest mały otwór. Do tego otworu wkładają zapalone cygaro. Wielbłąd zaczyna palić jak doświadczony palacz, wypuszcza dym nozdrzami, okazując duże zadowolenie.

Coś podobnego zdarza się w redakcji „Kurjera Wieczornego“. Od czasu do czasu redaktor staje i żadna siła nie jest w stanie zmusić go do pisania. Wydawcy wówczas przymocowują mu pod brodą czworokątną serwetkę, a do otworu zwanego ustami wtykają odkorkowaną butelkę pejsachówki. Redaktor zaczyna grdukać jak doświadczony śmirus, parska nozdrzami, okazując duże zadowolenie. A potem siada do pisania i płodzi taki artykuł, jak wyżej.

CO ONA SZEPTAŁA

W natchnieniu miłosnem, powieściopisarz krakowskiego „Kurjera Wieczornego“ (19.VII) tak snuje opowiadanie w podcinku:

Porwał ją w ramiona i wpił się wargami w jej usta. Oplatając mu ręce wokół szyji, szeptała lekkiego wyrzutu — tak długo musiałam na ciebie czekać mój Prinzen!

Autorowi tych kilku wierszy robiemy lekkiego wyrzutu.

WYPADEK

Depesza z Hagi, w IKC z dziewiętego lipca, tak się kończy:

Ogień, który wybuchł wskutek defektu akumulatora, błyskawicznie objął samochód i spowodował znaczne uszkodzenia zarówno wewnątrz jak i zewnątrz wozu.

Samochodem jest tylko lokaj ks. Bernharda.

W stanie groźnym odwieziono lokaja do garażu, gdzie dokonano naprawy akumulatora.

Z ŻYCIA ZWIERZĄT

Stołeczny „Dziennik Ludowy“ (18.VII) podał do wiadomości sensacyjną nowinę:

Robotnicy, opróżniający skład z towarami, natknęli się na próżną paczkę pogwoździach, w której kotka karmiła 11 młodych myszy. Na widok obcych wyciągnęła pazury, aby bronić swego przybranego potomstwa. Jeden z robotników wziął kotkę ze sobą, ale ta wyrwała się i wróciła do mysich sierot, którym postanowiła zastąpić matkę.

Widocznie kotka zjadła przedtem matkę tych mysząt, a potem ruszyło ją sumienie. Ale najciekawszy jest tytuł notatki, świadczy o bojowym duchu redaktorów. Tytuł ten brzmi:

Zwierzęta nie są nacjonalistami.

I w razie czego ławą pójda za sztan darem demokratycznym.

* WYDAWCY I REDAKTORZY: JULJAN BABIŃSKI I WŁADYSŁAW ZAMBRZYCKI

ZESZYT NINIEJSZY OPRACOWALI: Julian Babiński (J. B.), Jerzy Braun (Br.), Władysław Zambrzycki (Z.).
Podpis odnosi się do wszystkich poprzednich tekstów nie podpisanych

PRENUMERATA: mies. 1 zł. 50 gr., kwart. 4 zł. 20 gr., półrocz. 7 zł. 20 gr. Zagr. mies. 2 zł. 40 gr., kwart. 6 zł. 40 gr., półrocz. 12 zł.

*OGŁOSZENIA: za miejsce wysokości 1 mm. przez jedną szpalitę za tekstem 60 gr. w tekście 90 gr. (Wszystkie kolumny są dwuszpaltowe). Na kolumnę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 27 m 6. Telefon 664.75. Konto P. K. O. 28.388
ODDZIAŁ W POZNANIU: Fredry 3, tel. 51.32.

Przyjęcie Administracji i Redakcji od 9—3 pp. Redaktorzy przyjmują po uprzednim telefon. porozumieniu.

Zakł. Graf. „DZWIGNIA“, Warszawa, Widok 24, tel. 665-39.